

Zeszyt literacki

WYBÓR I OPRACOWANIE

Aneta Piotrowska

Gimnazjum Publiczne im. Witolda Bielowskiego w Warlubiu

Warlubie 2006

Przedmowa

Niniejszy „Zeszyt literacki” stanowi zbiór prac uczniów powstałych w latach 2001 – 2006 pod okiem polonistów Zofii Babińskiej, Anety Piotrowskiej, Jacka Kuffla.

Większość to prace, które są wynikiem udziału w różnego typu konkursach literackich m. in.: w ramach programu „Moja Polska w Unii Europejskiej” – Co to znaczy być Europejczykiem?; konkursie organizowanym przez Ligę Ochrony Przyrody; Wojewódzkich Konkursach Młodych Twórców. Ale są też i takie, które zrodziły się bez wcześniejszych inspiracji, powstały pod wpływem natchnienia, w chwili twórczego uniesienia naszych młodych twórców.

Nie po to zjawiasz się na świecie

To takie proste

Człowiek- proste słowo
A takie wieloznaczne

Wiele rozumie
A czasem jest naiwny jak dziecko

Potrafi wszystko znieść
A rani go byle głupstwo

Rozróżnia dobro i zło
I wciąż wybiera niewłaściwie

Upada
Podnosi się
Upada

Rozumie
Czym jest
Ból
Cierpienie
Obojętność
Gdy jego dotyczą

Dla bliźnich
Ma inną miarę

Zapomina
Że jest niczym
Bez drugiego człowieka

Jak czarna kropka
Bez białego tła
Światło bez mroku
Skrucha bez zadośćuczynienia

Nie żyje naprawdę
Gdy żyje tylko dla siebie

Jest nikim
Gdy nikomu nie służy

Nie liczy się
Jeśli nikt na niego nie liczy

Bądź egoistą-
Żyj dla innych
Dla własnego spełnienia

Nie po to...

Nie po to zjawiasz się na świecie,
Byś sam dla siebie kwiaty rwał.
Na dary serca czeka przecież
On, ona, ono - ty i ja.

Po to rozścielasz łąk kobierce
By budzić śmiech, nie potok łez,
I dając innym swoje serce,
Kwiat duszy ofiarujesz też.

Więc wiesz już czym jest dar najszczerzy-
Miłość to jest czarowny kwiat.
A bez tych cudów najpiękniejszych
Smutny i szary byłby świat.

Marta Kamińska

Kł. 16

Sens

Żyję.

Ale po co?

Myślę.

Ale po co?

Czuję.

Ale po co?

Sens życia, sens myśli, sens uczuć.

Jaki cel on ma?

Życ – by szczęście dawać.

Myśleć – by pomagać.

Czuć – by żyć innym pozwalać.

Anna Kutrzepa
Kł. II

Ktoś na ciebie czeka

Dziecko
jak każde inne

a jednak...

niekochane
samotne
wzgardzone

wytargane za uszy przez los
co tam - jedno z wielu
wszystkim i tak nie możesz pomóc

jego życie nie jest bajką-
zresztą nie zna bajek
nikt mu ich nigdy nie czytał

nie wie co to
miłość
rodzina
bezpieczeństwo
szczęście

jego uśmiech schował się w kącie
i śpi
obudź go swoim uśmiechem
(te niemądre grymasy twarzy są bardzo towarzyskie)

pomóż mu
pomóż samemu sobie
możesz wstrzymać oddech
lecz nie bicie swego serca

ofiaruj część siebie
szczyptę dobroci
kroplę życzliwości

ktoś na ciebie czeka

„Nie po to zjawiasz się na świecie, żebyś sam dla siebie kwiaty rwał...”

Już Einstein, najwybitniejszy fizyk wszystkich czasów, powiedział: „Tylko życie przeżyte dla innych, jest warte trudu życia”. Całkowicie się z nim zgadzam, lecz, niestety, dopiero niedawno zdałam sobie z tego sprawę.

Nadchodziły najpiękniejsze święta w roku - Boże Narodzenie. Najpierw gorączka przedświątecznych zakupów ogarnęła mnie i moich najbliższych, cieszyłam się tak bardzo, że z radością wykonywałam wszystkie polecenia rodziców. Liczył się efekt końcowy: smacznie przygotowane potrawy, pięknie wystrojona choinka, wspaniałe prezenty, nastrojowa muzyka i oczywiście ja z rodziną w galowych strojach przy stole wigilijnym. Już za chwilę miałam dzielić się opłatkiem z najbliższymi, gdy nagle usłyszałam czyjś cichy płacz. Nietrudno było się zorientować, że odgłosy te dochodzą z mieszkania na parterze. Okazało się, że starsza pani została sama, a w dodatku nie miała świątecznego drzewka. Poczułam się okropnie – ja – taka szczęśliwa, uśmiechnięta, a tak blisko ktoś, kto nawet podczas świąt nie miał powodu do uśmiechu. Bez namysłu wzięłam choinkę stojącą w moim pokoju i z radością wręczyłam ją smutnej kobiecie. Nie czekałam zbyt długo, by zobaczyć uśmiech na twarzy sąsiadki. Jej radość była jeszcze większa, gdy zaprosiliśmy ją na wieczerzę wigilijną. Już nie interesowały mnie w tym dniu prezenty, ważniejszą sprawą była dbałość o jej dobre samopoczucie i niegasnący uśmiech. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że poświęcenie się dla innych jest źródłem wielkiej, wewnętrznej radości. To było takie wspaniałe uczucie, od razu chciałam to powtórzyć. Udało mi się i to wielokrotnie, zrobiłam wielką rzecz (choć nie robiłam nic nadzwyczajnego), nauczyłam się czerpać radość z drobnych rzeczy - najmniejszej pomocy innym. To był mój wielki sukces.

Od tej pory z większą uwagą i troską obserwuję ludzi, z którymi mieszkam, spotykam się na ulicy i w szkole. Wszystko po to, by w porę odczytać sygnał z ich twarzy: smutek, cierpienie, problemy, z którymi nie mogą sobie poradzić. Oczekują pomocy, lecz nie zawsze o nią proszą.

Mam już piętnaście lat i myślę, że to najwyższy czas, żeby zerwać z własnym egoizmem, a zacząć żyć dla innych. Chcę nieść pomoc i być potrzebna, bo teraz już wiem, że „nie po to zjawiałam się na świecie, żebym sama dla siebie kwiaty rwała”. O tej prawdzie muszę i chcę pamiętać w każdym momencie mojego życia.

Wykonując jakąkolwiek pracę muszę wiedzieć, że służy ona nie tylko mnie, ale także drugiemu człowiekowi. Praca ta musi być wykonana, rzetelnie i z zaangażowaniem. Od mojego osobistego wkładu zależy jej końcowy efekt.

Myślę, że w obecnym świecie nie brakuje ludzi, dla których los drugiego człowieka jest mało istotny. Zapominają o wpojonych zasadach chrześcijańskich, które nakazują szanować innych ludzi. A przecież człowiek przeznaczony jest do szczęścia i radości. Jakże mało wokół nas jest ludzi wesołych, szczęśliwych i

pozytywnie nastawionych do życia. Dostrzegam, że coraz więcej młodych osób pozbawionych jest pracy, a w związku z tym, perspektyw na założenie rodzin, odnalezienie swego miejsca w życiu. Nietrudno w takiej sytuacji zgubić się w otaczającej rzeczywistości i popaść w wielkie skrajności. Nie widząc sensu życia, sięgają po narkotyki czy alkohol. Stają się agresywni, wulgarni, i absolutnie nie myślą, że żyją po to, by uszczęśliwiać innych. Ich życiu towarzyszy pesymizm i brak nadziei. Według mnie godny naśladowania był Marek Kotański, który wyciągnął pomocną dłoń w ich kierunku. Organizował schroniska dla bezdomnych, narkomanów, alkoholików i samotnych matek z dziećmi. Odwiedzał różne instytucje w poszukiwaniu środków finansowych i materialnych, dla pokrycia kosztów utrzymania domów swych podopiecznych. Był to człowiek o wielkim sercu, umiejący pogodzić własne życie z życiem w *Monarze*. Marek Kotański na nowo zarażał tych ludzi entuzjazmem i chęcią do życia, ponosił wiele trudu, ale autentyczna chęć niesienia pomocy przezwyciężyła wszystkie złe chwile i kłopoty. Jestem pełna uznania dla tego człowieka, który zrozumiał, że: „Szczęście człowieka na ziemi zaczyna się dlań wtedy, gdy zapominając o sobie zaczyna żyć dla innych”.

Matka Teresa z Kalkuty to następna wielka osobowość, która wiedziała, że „szczęście to jedyna rzecz, która się mnoży, gdy się ją dzieli”. Mimo małej postury odznaczała się wielkim sercem i dobrocią. Jej nadrzędnym celem było niesienie pomocy bezdomnym i chorym ludziom. Podobnie jak M. Kotański organizowała z siostrami zakonnymi schroniska dla najbardziej potrzebujących. Nie obawiała się o własne życie i zdrowie. Z ochotą pielęgnowała i karmiła swych chorych. Najszczęśliwsza była wówczas, gdy podopieczny odwzajemniał jej dobroć uśmiechem. Było to wielkie dzieło tej skromnej osoby, zważywszy na to, że większość z nas, koło bezdomnych, zaniedbanych, chorych na zakaźne choroby przechodzi obojętnie, z grymasem niezadowolenia na twarzy. Uczę się od niej, że nie po to żyjemy, by odnosić sukcesy własne i czekać na poklaski, ale by umieć cieszyć się szczęściem innych.

Tak, jak ci wielcy ludzie i ja, każdego dnia, mogę wypełniać cel mojego życia – żyć dla innych. To takie proste, zrobić coś dla drugiej osoby. Wystarczy, aby coraz częściej w moim życiu pojawiała się „my”, a nie „ja”. Kiedyś chciałam dążyć do tego, by osiągnąć źle pojmowane szczęście: mieć dla siebie dobrze płatną pracę, wiele przyjemności i długo żyć. Ale po co życie, u którego kresu będę sama, nikt się do mnie nie uśmiechnie, nie wyciągnie pomocnej dłoni. Nikt nie będzie chciał przyjaźnić się z osobą, która myśli tylko o własnym szczęściu. Dlatego chcę pamiętać i pomagać innym w każdej chwili, a oni na pewno odwdzięczą się mi tym samym.

Pragnę brać przykład z ludzi prostych i skromnych, ale jednocześnie doskonale rozumiejących, że „losem człowieka jest człowiek”. Ja także mogę być podobna do nich i zaszczepiać w innych myśl, że „nie po to zjawiają się na świecie, żeby sami dla siebie kwiaty rwali”

Nie po to zjawiasz się na świecie, żebyś sam dla siebie kwiaty rwał...

Przyszłam na świat dzięki drugiemu człowiekowi. Ten drugi człowiek nosił mnie w swoim łonie dziewięć miesięcy, kochał mnie, dbał o moje zdrowie i bezpieczeństwo. Nie żył tylko dla siebie, żył dla mnie, która byłam w nim i żyje dla mnie nadal. Ten cudowny człowiek, to moja Mama

Dla mnie idealnym uosobieniem życia dla kogoś drugiego jest właśnie matka. Ona nie żyje sama dla siebie, nie zrywa kwiatów tylko dla siebie. Ciągłe myśli o mnie i wiem, że zawsze tak będzie. Niestety, czasami nie okazuję wdzięczności za poświęcenie, jakim mnie obdarowuje. Bywam niegrzeczna i bardzo ją ranię. Często żałuję i przepraszam, lecz czasami nie wyrażam nawet skruchy.

Mam już skromne doświadczenie i wiem, jakie jest życie w burzliwym nastoletnim wieku. Myślę, że przychodząc na świat mam do spełnienia pewnego rodzaju misję. Moim zadaniem jest wywoływać szczęście i obdarowywać tym szczęściem innych.

Kim byłabym, gdybym żyła tylko dla siebie? Jestem pewna, że nie miałabym niczego, oczekiwałabym od życia dużo, nie dając nic w zamian. Byłabym wielkim samotnikiem i choć mówiłabym, że taki styl życia mi odpowiada, w rzeczywistości byłabym ogromnie nieszczęśliwa. Uważam, że egoistów jest na tym świecie za dużo. Za dużo jest tych, „co rwą kwiaty tylko dla siebie”, co niszczą wszystko dookoła, a najbardziej siebie.

Ja nie chcę być taka i będę walczyła o to, by chociaż część świata nie należała do egoistów. Myślę, że wszystko nie jest jeszcze stracone. Wystarczy, jeśli porządnie się rozejrzę, a rozwiązanie samo mi się nasunie. Ileż na świecie było ludzi, którzy spełniali wyznaczoną im misję, którzy wiedzieli, że życie dla drugiego człowieka jest ważne, i na których mogę się wzorować.

Dla mnie takim wspaniałym przykładem jest Matka Teresa z Kalkuty. To założyciele fundacji charytatywnych, którzy za pomocą różnych środków ratują ludzkie życie, podnoszą na duchu i dają perspektywę na lepsze jutro. Myślę, że takich ludzi potrzebuje świat - ludzi, którzy byli, są i będą wzorem.

Dla mnie największym altruistą jest Jan Paweł II. To papież, który zjednoczył ludy chrześcijańskie. Łaski i miłość, które otrzymał od Boga, dał ludziom, wzbudzając w nich wzajemną miłość. Chociaż trochę chciałabym być do niego

podobna, choć wiem, że na miano ideału nie zasługuję. Wiem, że świata nie da się zmienić, że to co jest mocno zakorzenione, nie zostanie wyrwane.

Jednak mogę częściowo zmienić mój własny świat, to co mnie otacza. Czy tak trudno jest pożyczyć sąsiadce szczyptę soli, wiedząc, że ją odda – a nawet gdyby nie oddała? Czy ciężko jest pomóc przejść przez ulicę starszej pani, która nie cieszy się zdrowiem, takim jak ja? Czy trudno jest podziękować przyjacielowi za ten drobny upominek, który dla niego jest czymś cennym? Myślę, że potrafię wykrzesać z siebie odrobinę dobroci, a nawet więcej. Wierzę, że stać mnie na podzielenie się tym, co mam - tym, co dla mnie jest cenne. Nic dla mnie nie jest trudne, gdy czegoś naprawdę chcę.

Nie po to zjawiłam się na świecie, bym sama dla siebie żyła i nic z siebie nie dawała. Mądry człowiek, Goethe, powiedział kiedyś znaczące słowa: "Tylko życie poświęcone innym warte jest przeżycia". Uważam, że to mądre słowa i czynię je swoim mottem życiowym.

Ósmy grzech główny współczesnego świata

„Ósmy grzech główny współczesnego świata”

Było późne popołudnie, dzień mglisty i deszczowy. Siedząc w pokoju rozmyślałam o wydarzeniach mijającego roku. Zastanawiałam się nad ludźmi ich postępowaniem i zachowaniem. Czynieniem dobra i zła. Doszłam do wniosku, że zło w większości spowodowane jest materializmem. Ludzie ogarnięci „żądzą pieniądza” gotowi są na wszystko.

Różnie mówi się o pieniądzu: „szmal”, „forsa”, „kapucha”, ale to wszystko doprowadza do utraty moralności, poczucia godności drugiego człowieka, prowadzi do tragedii i zabójstw.

Często w mediach słyszymy o grupach przestępczych o porwaniach dla okupu, napadach na ludzi starszych. Codziennie stały się też wiadomości o przemyśle i handlu narkotyków. To wszystko dla pieniędzy. Ta grupa ludzi zrobi wszystko, aby mieć coraz więcej.

„Forsomania”, która ogarnęła świat przestępczy staje się niebezpieczna dla mas ludzi, dla całego świata. Rozszerza się tzw. znieczulica, przestępcy, „bogacze” stają się obojętni na los drugiego człowieka, zapominają o miłości bliźniego, o jego prawie do godnego życia.

Żądza pieniądza i szmal to główne cele życia niektórych ludzi, lekceważących rodzinę i bliskich. Ogarnia ich chęć posiadania majątku i luksusu. Zamykają świat wokół siebie. Często przemawia przez nich chęć władzy, panowania nad resztą świata, dlatego organizują napady terrorystyczne i wystąpienia zbrojne.

Te spostrzeżenia narzucają mi pytanie: „Czy tylko ludzie dorośli tak postępują?” Chyba nie. My młodzi też popełniamy te błędy. Często wyludzamy od rodziców pieniądze na drogie ciuchy. Żądamy drogocennych rzeczy, by dla „szpanu” pokazać się w spodniach z napisem „L’evís” lub „Big Star”. Chodzić z głową w chmurach i czuć się bogatszym - lepszym od innych. Chwalić się oryginalnymi ciuchami za pieniądze rodziców, niekiedy ciężko zapracowanych, wszystko dla osiągnięcia „pozycji” w klasie. Marka ciucha świadczy według wielu o statusie człowieka. Coraz częściej wśród młodych ludzi zanika chęć niesienia pomocy innym. Umyka gdzieś robienie dobra od serca, od samego siebie. To skutek dumy z posiadania czegoś więcej od reszty - pieniędzy.

Po długich rozważaniach doszłam do wniosku, że te wszystkie czyny to łamanie nakazu i zakazu ustanowionego przez doktrynę etyczną mojej religii, popełnienie czynu niemoralnego wymagającego kary i duchowego oczyszczenia. Według mnie to grzech. W mojej religii jest siedem grzechów głównych. Ja do istniejących już siedmiu dopisałabym ósmy, nie mój - lecz świata, jest nim materializm. Od dziś materializm uważam jako „ósmy grzech współczesnego świata”.

„Ósmy grzech główny współczesnego świata”

Według mnie ósmym grzechem głównym świata jest materializm, czyli gromadzenie za wszelką cenę dóbr materialnych, które zostają pomnażane nie zawsze w sposób właściwy i godny człowieka. Zdarza się, że aby osiągnąć swój cel zapominamy o dobru innych ludzi, nie licząc się z ich uczuciami i potrzebami. Postępujemy zgodnie z twierdzeniem: „człowiek, człowiekowi wilkiem”, taki sposób życia dotyczy zarówno młodego pokolenia jak i osób starszych.

Od najmłodszych lat nasi rodzice przekazują nam zasady, według których mamy postępować. Pragną zaszcześcić w nas pewne wzorce postępowania. Dużą rolę w tym względzie odgrywa religia, która też kształtuje nasze charaktery i w konsekwencji prowadzi do rozwoju naszej osobowości. Wydawałoby się, że wychowany w ten sposób młody człowiek nie powinien stanowić zagrożenia dla innych, lecz być szczęśliwym i nieść radość w życiu. Jednak świat nie jest idealny. Na każdym kroku dostrzegamy ludzki egoizm i chęć zaspokojenia własnych potrzeb materialnych. Boli nas, że ludzie nie dbają o swoją duchowość i życie wewnętrzne, tylko gonią za rzeczami materialnymi, które według nich stanowią szczyt marzeń.

Obserwując dorosłych, dochodzę do wniosku, że posiadany majątek niejednokrotnie doprowadza ich do depresji, samotności i niezadowolenia. Z czego to wynika? Otóż ci ludzie w drodze do osiągnięcia jak największych dóbr, czy majątku gubią się po drodze i zbyt mało czasu poświęcają sprawom prostym i koniecznym. Nie potrafią cieszyć się z rzeczy zwykłych, codziennych, nie mają czasu dla swych najbliższych, niezbyt chętnie nawiązują przyjaźnie, a właściwie izolują się od otoczenia, są samotni.

Czasem zbyt późno szukają odpowiedzi na pytanie - czy warto było brać udział w gonitwie za pieniędzem, za wartościowymi przedmiotami, które miały wzbudzić zachwyt a jednocześnie zazdrość wśród innych osób? Co w rzeczywistości ma określać prawdziwego człowieka - mieć? czy być? Oto odwieczny dylemat ludzkości! Dla coraz większej liczby młodych ludzi nie liczą się wartości takie jak: honor, lojalność, dobroć, altruizm czy przyjaźń. Nie pracujemy nad sobą i nie mamy ochoty na dokonanie czegoś pożytecznego dla swoich rówieśników i siebie samych. Marzymy o wielkiej karierze i o zdobyciu wymarzonego zawodu, o wielkim majątku, lecz bez najmniejszego wkładu i wysiłku. Niech marzenia nie pozostaną pusto brzmiącymi słowami,

podejmujemy nowe wyzwania, w swojej edukacji bądźmy systematyczni i dociekliwi, bo odwieczna prawda głosi, że bez własnego zaangażowania i trudu człowiek nie osiągnie zamierzonego celu. Dzielimy się swoimi osiągnięciami z innymi, zaszczepiamy w nich to, co liczy się w życiu, a więc wspólna praca dla dobra ogółu, niesienie pomocy ludziom w potrzebie, dzielenie się z innymi swoim majątkiem, a zaznamy czegoś prozaicznego – czyjaś wdzięczność i uśmiech na twarzy, aż wreszcie zrozumiemy, że w życiu bogactwo nie jest najważniejsze.

W ostatnich latach rozpowszechnił się mit, że ludzie bogaci mają jakby większe prawa i możliwości. Takie przeświadczenie panuje również wśród młodzieży. Osoby te dominują w zespole klasowym i w życiu pozalekcyjnym. Wykorzystują swoją źle pojętą „władzę”, by manipulować innymi. Czują się lepsi i bardziej wartościowi, wyśmiewają innych za sposób ubierania się i wygląd, są powierzchowni i bez uczuć. Dziwi mnie, że tak wielu rówieśników pragnie zaprzyjaźnić się z tymi ludźmi. Według mnie takie osoby nie zdają sobie sprawy, że bogactwo i statut majątkowy ich rodziny to nie sukces ich własny, tylko rodziców i nie stanowi on podstaw, by innych ludzi traktować gorzej i lekceważąco.

Chciałabym, aby moje pokolenie zrozumiało, że takie wartości jak przyjaźń, wierność, uczciwa praca, chęć niesienia pomocy innym, przynoszą człowiekowi prawdziwą radość i wolność. Uczmy się to doceniać.

Pieniądze, jako środek płatniczy są człowiekowi potrzebne do zaspokojenia materialnych potrzeb, ale w granicach rozsądku. Nie należy ich przeceniać, bo łatwo mogą nas zniewolić.

Wpatrujmy się zatem w ludzi, dla których uczucia są ważniejsze od posiadania rzeczy materialnych. Bądźmy wolni i zdolni do dokonywania właściwych wyborów w naszym życiu. Nie pozwólmy, aby materializm stał się ósmym grzechem głównym naszego świata!

"Ósmy główny grzech świata"

Bardzo wcześnie, bo już w wieku siedmiu lat, zaznałam gorzkiego smaku "ósmego grzechu". Siedem pierwszych doskonale przez nas znanych, to główne a zarazem "soczyste" grzechy. Moim zdaniem za ósmy grzech świata należy uznać kłamstwo. To co chcę napisać, to nie są tylko puste słowa, głupie frazesy. Jest to historia wcale niebanalna, miała ona miejsce i doskonale obrazuje następstwa kłamstwa.

Był już drugi miesiąc wakacji, kiedy odwiedziła nas babcia, była obładowana bagażami. Wizyta babci sprawiła mi niemałą niespodziankę, byłam zaskoczona tymi odwiedzinami. Czyżby babcia stęskniła się za nami i zechciała tak bezinteresownie nas odwiedzić? – zadałam sobie pytanie. Tymczasem babcia mocno mnie uściskała, wyciąłowała. Po czym zaczęła się witać z innymi członkami rodziny. Kiedy już przywitała się ze wszystkimi, postanowiłam pomóc babci rozpakowywać bagaże.

- Może załapię się na jakiegoś lizaka – westchnęłam i pobiegłam do pokoju. Można by przy tej okazji podpytać babcię o cel odwiedzin. Babcia ucieszyła się na mój widok i wręczyła mi solidnie zapapierkowanego lizaka. Lizaki to moja pasja, więc ucałowałam babcię i zabrałam się do rozpakowywania torby. Pogawędziłyśmy sobie trochę to o wakacjach, pogodzie i o nowej spódnicy babci. Poprosiłam babcię, by jutro rowerem pojechała ze mną nad jezioro.

- W telewizji mówili, że jutro taka ładna pogoda, babciu – targowałam się niby to z samą sobą.

- Tak dawno nie jechałam rowerem, a do jeziora daleko i w ogóle komu by się chciało w taki upał – odparła babcia.

- Kiedy babuś obiecałeś, że jak tylko zrobi się ciepło... – urwałam.

- Wiem dziecko, ale w moim wieku na rowerze, słońko, z tym nadciśnieniem – z niecierpliwością mówiła babcia.

- Babuniu, proszę, zabierzemy moje niebieskie kółko pływackie, a w dodatku pokażę babci, jak już zwinnie poruszam się w kółku.

- No, skoro tak twierdzisz, zgoda. To i nawet dobrze, zobaczę, jak tam się zmieniło to wasze jezioro. Tylko biegnij do mamy i spytaj ją, co o tym myśli, jeśli jest tego samego zdania co ja, to jedziemy zaraz po obiedzie.

- Babciu, dziękuję. Jesteś taka kochana!

- Daj spokój Natalko! Cieszysz się? – czułam, że babcia oczekuje ode mnie potwierdzenia.

- Pewnie, że się cieszę – krzyknęłam i wybiegłam powiadomić rodzinę o naszej jutrzejszej wyprawie. Wszyscy poparli moją decyzję i uznali, że to doskonały pomysł by wyrwać z domu babcię. Klamka zapadła, jutro jedziemy na rowerze nad jezioro.

Z samego rana babcia krzątała się po domu, podczas gdy ja smacznie sobie pochrapywałam. Jednak mama dała kres błogiemu lenistwu. Nawet argumenty babci, że byłam trochę zmęczona, nie pomogły. Babcia była dziś w doskonałym humorze, co dodało mi wigoru i podniosło na duchu.

Wyrzałam przez okno i oślepił mnie blask promieni słonecznych.

- A nie mówiłam, że będzie słońko?

- Mówiłaś, mówiłaś – przyznała mi rację babcia.

Śniadanko było wyśmienite i pogoda również, dokładnie taka, jak sobie wczoraj wymarzyłam. Na twarzy babci malował się uśmiech. Kiedy już uporałam się ze śniadaniem, babcia zabrała się za zmywanie, a mama poszła słać łóżka.

- Babuniu, czy ta wycieczka nad wodę jest nadal aktualna?

- Jak najbardziej, żeby tylko słońce nam nie zgasło. Pomogę mamie robić obiad, a ty idź się pobaw – poprosiła mnie babcia.

- Nie ma sprawy, poszukam kółka, no wie babcia, tego niebieskiego w kwiatki.

- Tak, wiem, przecież sama ci je kupiłam, skarbie.

- No tak oczywiście.

Opuściłam dom i poszłam na dwór do piaskownicy przed dom, by stawiać babki z piasku w kształcie konika morskiego, muszelki, kaczkę i typowej babki. Piasek był za suchy, więc pokropiłam go wodą z konewki, od razu lepiej kleiła się robota. Później poszłam nazrywać kwiatków, podeptałam przy tym pół ogródka i z niewinną miną, jak na siedmioletnią dziewczynkę przystało, zaniiosłam kwiatki do piaskownicy, by je zasadzić. Nieświadoma tego, że na suchym podłożu nic nie urośnie, wpychałam je w suchy piasek i podziwiałam, jak jeden po drugim więdną.

Oj! Chyba zapomniałam zamknąć wówczas bramkę, bo właśnie zebrała się tam gromada niestrudzone wydrapujących coś kur. Za te kury dostałam solidnego klapsa, więc poszłam szukać wsparcia w babci, dzięki której skończyło się tylko na porządnej naganie. Kiedy cała afery z ogródkiem stała się historią, poczułam, że mam pusty żołądek. Głodne dziecko, jako pierwsze, przyniosło sobie talerzyk i zasiadło pośrodku stołu.

- Zaraz, zaraz czyżby nasz brudas zgłodniał? – zapytała mama głosem pełnym zdziwienia.

- Mamusiu, ale ja myłam ręczki.

- No dobrze, wierzę. Tylko mogłabyś się trochę przesunąć z tym talerzykiem, żeby zmieścił się ktoś jeszcze przy stole. Tylko bez grymasów – upominała mama.

To prawda. Zrobiłam bardzo skrzywioną minę, po czym przesunęłam talerzyk.

Obiad smakował wyśmienicie, pierożki były pyszne, takie z owocami i do tego kompot truskawkowy. Prawdziwy przysmak. Po skończonym obiedzie poprosiłam babcię, żeby pozwoliła mi pozmywać, miało to przyspieszyć nasz wyjazd, ale nic z tego nie wyszło. Babcia stwierdziła, że lepiej będzie jeśli poszukam sobie strój, ręcznik, kółko, kocyk na bagażnik, okrycie głowy i jakiś olejek do opalania dla ochrony przed słońcem. Zrobiłam to z pomocą mamy, która okazała się bardzo potrzebna, gdyż zaczęło mnie martwić zniknięcie kąpielówek, bez których ani rusz. Babcia posprzątała po obiedzie, mama znalazła moje kąpielówki i resztę bagażu, który wpakowała do zielonego plecaka. Babcia ubrała coś luźniejszego i przewiewnego, wsadziła, podobnie jak ja, kapelusz na głowę. Ucałowałam mamusię w oba policzki. Babcia poinformowała, że wrócimy nie później niż o piątej i ruszyliśmy dróżką prowadzącą wśród drzew otaczających ścieżkę prowadzącą do naszej chatki. Babcia wprawiła rower w ruch, mając na plecach zielony plecaczek, ja siedziałam na bagażniku i zachwyciałam się pięknem otaczającego nas ze wszystkich stron krajobrazu. Słońce i spiekota dały się we znaki. Jechałyśmy teraz szosą, mając po obu stronach las, który użyczył trochę cienia. Babcia się zasapała, więc doradziłam, byśmy się zatrzymały i chwilę odpoczęły. Moja propozycja zyskała aprobatę, zaraz po zejściu z bagażnika sięgnęłam do plecaczka i wyciągnęłam zimny sok jabłkowy.

-Tego mi było trzeba – powiedziała już nieco odświeżonym głosem babcia. Przyznasz wnusiu, że duży dziś upał, więc wezmę jeszcze jednego łyeczka i w drogę.

Babcia wzięła porządnego łyka, zakręciła butelkę, a ja schowałam ją posłusznie do plecaczka. Poprawiłam koc na bagażniku i na nowo usadowiłam się na nim. Babcia wgramoliła się z plecakiem na siodło i ruszyliśmy w stronę jeziora, do którego został nam jeszcze kawałeczek asfaltowej drogi. Ptaki zataczały nad nami koła, a słońce mocniej przypiekało. Na szczęście powiał łagodny wietrzyk i babci jechało się teraz lżej.

I oto dojechaliśmy na miejsce, rower sprowadziłyśmy, a raczej babcia sprowadziła ze stromej góry, oparła o drzewo, obok którego rozłożyłyśmy kocyk. Rozciągał się piękny widok na jezioro, sprawdziłam ręką temperaturę wody, zdawała się być ciepła. Nic zresztą dziwnego, po takim upale miałyby być zimna? Wzięłam od babuni plecak, wyrzuciłam zawartość.

Na plaży aż roiło się od dzieci, dorosłych, młodych i starszych. Jedni pływali na materacu inni pontonem, dwóch mężczyzn płynęło łódką, dwie małe dziewczynki lepiły zamek z piasku, jedna nosiła wodę, druga zagarniała złoty piasek. Babcia zrzuciła klapki i boso stanęła na gorącym piasku. Wyglądała na

szczęśliwą. Z pomocą babci ubrałam się w strój, a jaką wielką niespodziankę zrobiła mi, kiedy zdjęła luźną spódnicę, bluzkę i ujrzałam babunię w stroju kąpielowym w świetle dziennym.

- Babciu nie spodziewałam się, że ty też będziesz się kąpała.
- A co, czyżbyś myślała, że babcia nie umie pływać? Mylisz się skarbie, umiem i to bez kółka.

- Ja też bym chciała bez kółka.

- Jak podrośniesz, to na pewno popływasz ze mną bez kółka, obiecuję.

Uściskałam babcię, wśliznęłam się w kółko i poprosiłam, żeby ze mną weszła do wody. Babcia obiecała, że zaraz po tym jak wypakuje swój ręcznik i posmaruje się olejkiem, dotrzyma mi towarzystwa. A tymczasem bacznie obserwowała mnie w kółku, przy brzegu paplając się w wodzie. Ale była radocha, kiedy babcia zaczęła na mnie chlapać wodą ze wszystkich stron, chciałam babci oddać podobnym chlapnięciem, ale trochę mi nie wychodziło. Natychmiast zostałam porwana, tzn. trzymana za kółko rękoma babci, na której malował się uśmiech. Kiedy już wyszłam z wody, babcia owinęła mnie włóchatym ręcznikiem. Szczęśliwa usadowiłam się na kocu, a babcia wyjęła pyszne ciasteczka. Gdy troszkę podjadłyśmy, zdjęłam ręczniczek, rozłożyłam obok babcinego i położyłam się obok niej. Długo tak nie usiedziałam, więc poprosiłam babcię, aby pozwoliła mi zbudować zamek, taki jak te dziewczynki naprzeciw naszego koca.

- A może się do nich przyłączysz? – zaproponowała babcia. Zresztą czemu nie zapoznasz się z nimi i nie zapytasz, czy możesz im pomóc? Na pewno się zgodzą.

- Oby babciu.

Podeszłam do dziewczynek tj. Justynki i Magdy, które okazały się bardzo wesołe i miłe na tyle, że zaprosiły mnie do zabawy. Spostrzegłam, że babcia znalazła bratnią duszę w mamie dziewczynek i teraz gaworzyły, jak to Justynka pięknie pływa żabką w kółeczku. Słońce nie świeciło już tak jak wcześniej. Mama Magdy i Justynki przywołała dziewczynki, zapoznała ze starszą panią, babcią i oznajmiła, że będą się zbierać. Istotnie po piętnastu minutach dziewczynki były już w samochodzie, pokiwały mi na pożegnanie. Panie pożegnały się i nasi nowi znajomi odjechali asfaltową szosą.

- Mili, prawda babciu?

- Tak, a ta pani Małgosia, taka gadatliwa i zabawna, aż się chce człowiekowi słuchać tej paplaniny.

- No i to jakiej fajnej – przymilałam się babci.

- My też musimy się zbierać, obiecałam mamie, że wrócimy o piątej.

- To ja zdejmę strój i włożę do foliowego woreczka, i ubiorę sukienkę.

- Ja też coś na siebie wrzucę, nie będę paradować na stroju – dumnie naśladowałam babcię.

Babcia spakowała wszystko do plecaka, upchała ręczniki, zwinęła koc, który położyła na bagażniku

- Widzisz tę panią na mostku? Zdaje mi się, że to pani Zawadzka. Zajdziemy do niej i spytamy, czy nie zna drogi na skróty.

Pani Zawadzka powiedziała, że zamiast tej, którą przyjechaliśmy, z prawej asfaltem przez las, możemy skręcić w lewo i pojechać krótszą. Wystarczy jechać cały czas prosto i wyjedziemy obok ogrodzenia państwa Guzmanów, a następne zabudowania to nasz dom. Babcia podziękowała kobiecie i kazała mi wsiąść na rower, posłuchałam i teraz skręciłyśmy w lewo.

Droga ta wiodła również przez las, jechałyśmy prosto według rady pani Zawadzkiej. Las szumiał. Dochodziła w pół do piątej, babcia zaczęła się niepokoić. Ja sądziłam, że jedziemy dobrze. Niczego się nie obawiając, siedziałam na bagażniku roweru napędzanego pedałowaniem babci. Jechałyśmy leśną ścieżką, która o dziwo wydawała się coraz dłuższa. Staralam się protestować, wymyślać itd.

- Ja też się niecierpliwie Natałko. Coś mi się zdaje, że ta droga nie zaprowadzi nas do celu. Oj, żebyśmy się myliła – ciężko westchnęła babcia.

- Babciu wszystko mnie boli od tego bagażnika – zaczęłam narzekać.

- Tylko trzymaj nogi cały czas w pewnej odległości od koła, by nie wkręcić nóg w szprychy – dało się wyczuć zdenerwowanie mojej babci.

- Łatwo babci mówić – chciałam przedłużyć rozmowę.

- Wcale mi nie łatwo - babcia zdenerwowała się na dobre.

- Widać stację, dojechaliśmy na dworzec, jak ja mogłam słuchać tej Zawadzkiej, wyprowadziła nas w pole – zarzucając samej sobie naiwność i łatwowierność.

- I co teraz będzie? – zapytałam z niepokojem.

- Jak to co, wracamy tą drogą, którą przyjechaliśmy. Już piąta, rodzice się niepokoją. Trzymaj nogi szeroko! Wytrzymasz?

Teraz wracałyśmy dobrą ścieżką. Po drodze spotkało mnie coś przykrego, oprócz tego, że zabłądziłyśmy wprowadzone w błąd, to teraz nogi, a dokładnie kolana, miałam całe we krwi.

- Babciu krew mi leci.

- Już córuś jesteśmy w domu – usłyszałam radosny głos babci.

Wszystko dobrze się skończyło, dotarłyśmy wreszcie do domu, choć strasznie się poobijałam. Pamiętam, jak płakałam obolała. Głupi żart znajomej o mało nie doprowadził babcię do zawału, a mnie na długo unieruchomił nogi, gdyż długo goiły się moje stawy kolanowe. „Kłamliwa” droga okazała się zbyt trudna i długa dla mnie i mojej babci. To zdarzenie, to tylko jeden ze skutków ósmego grzechu, którym ranią nas ludzie fałszu i obłudy, a zwą się kłamcami.

„Ósmy główny grzech świata”

Na całym świecie jest wiele grzechów. Myślę, że z grzechem można spotkać na każdym kroku. Wiem, że jest siedem głównych grzechów świata sklasyfikowanych przez chrześcijan. Dlaczego akurat tyle? Czy ja wiem? Przecież mogłoby być osiem albo i więcej. No, ale nie chcę napisać przecież listu do papieża, żeby na prośbę takiej jednej dziewczyny z siedmiu grzechów głównych zmienił na osiem grzechów głównych. To byłoby wariactwo. Wiem. Gdyż przy głębszej analizie zachowań ludzkich okazałoby się, że nie zmieścilibyśmy się w dekalogu grzesznych ludzkich poczynań. Ale cóż, taka prawda, gdzie nie spojrzysz, tam widzisz niestosowne zachowanie.

Wiem, że ludzie nie przywiązują większej wagi do grzechów. Ważne by osiągnęli cel, a środki zostaną uświęcone. Jednak główne grzechy ujęte przez katechizm, to główne grzechy, więc rzadziej się je popełnia. A kłamstwo? Nie jest uznane, jako ciężki grzech, a może to właśnie ono powinno być tym ósmym grzechem świata? Kłamstwa jest bardzo wiele na świecie. Tak naprawdę, to nie wiemy, kiedy ktoś mówi prawdę. Od kłamstwa rozpoczyna się zło. Gdy popełnimy małe kłamstwo, niewinne kłamstewko, to nie wyobrażamy sobie, że ono by mogło uczynić jakiegokolwiek zła. Jednak nawet takie małe komplikuje prawe postępowanie. A co dopiero duże, ile ono szkód wyrządza. Nie dość, że może zniszczyć najbardziej żyte związki i najmocniej zwarte przyjaźnie, to może spowodować nawet katastrofy!

Jedno niewielkie niedomówienie, jedno kłamstwo i zamęt gotowy. Przysłowie mówi o tym „kłamstwo ma krótkie nóżki”. Przykładem takiego niekaralnego kłamstwa może być taka historia:

W ciepłe, słoneczne dni zawsze lubiłam jeździć nad jezioro. Po prostu w wodzie czuję się jak w raju. Pewnego dnia nie mogłam wytrzymać w domu, a to z powodu tej pięknej słonecznej pogody, która aż kusiła do kąpieli w ciepłej wodzie jeziora. Po obiedzie wybrałam się nad upragnioną wodę. Po drodze wstąpiłam po koleżankę Magdę, która chętnie zgodziła się ze mną pojechać.

Kąpiele w jeziorze od początku zapowiadały się cudownie. Poznałyśmy wielu kolegów i wiele koleżanek. Szczególnie zżyłyśmy się z Olką, miała podobne upodobania i posiadała ogromne poczucie humoru. Świetnie nam się z nią rozmawiało, nawet okazało się, że młodsza siostra Oli, Anka, chodziła kiedyś z nami do jednej klasy. Było fajnie. Codziennie z Magdą świetnie się bawiłyśmy na plaży, ale Olka, niestety, nie mogła tak często przyjeżdżać, bo mieszkała w Grudziądzu. Polubiłyśmy Olę, więc zaproponowałam naszej nowej

koleżance i Ance, aby zostały u mnie na jakiś czas na wakacjach. Z chęcią się zgodziły, ale Olka nie przyjechała z siostrą, bo Anka była u babci w Gdańsku na wakacjach. Przez cały tydzień w trójkę bawiłyśmy się niesamowicie. Poznawałyśmy nowych ludzi.

Ola, aby się nam odwdzińczyć za wspaniałe, niezapomniane chwile spędzone z nami, zaprosiła mnie i Magdę do siebie do Grudziądza na kilka dni. Bez namysłu, oczywiście za zgodą naszych rodziców, nieomal wykrzyczałyśmy sakramentalne tak. Do miasta zawiózł nas wszystkie Marek, znajomy Olki. Od samego początku zadziwiał nas jego dowcip, nawet trochę przesadny. Dojechaliśmy na miejsce. Wreszcie. Marek wysadził nas przy kawiarni. Olka poznała nas ze swoimi kumplami i nas z nimi zostawiła, bo jak twierdziła, musiała jechać do domu po swój samochód. Weszłyśmy z nowopoznanymi kumplami do kawiarni, zamówiliśmy wszyscy zimne napoje do picia i rozmawialiśmy. Nie minął kwadrans, a kumple Oli zaczęły za dużo sobie pozwalać. Nim się obejrzałyśmy, chłopacy zaoferowali nam działkę „koki”. Tego było za wiele! Ola przesadziła! Na pewno wiedziała o tym wszystkim od początku, dlatego nas tu przywiozła. Chciała nas zrobić w to „bagno”. Ale my bez chwili zastanowienia i bez żadnego słowa wyszłyśmy z tej uroczej kawiarenki podgrzanej niezłą atmosferą. Chłopcy wyszli za nami i wołali nas, a my pobiegłyśmy przed siebie. Znalazłyśmy się na przystanku PKS-u, ale co nam po tym, gdyż nie miałyśmy kasy, bo wydałyśmy wszystko, a do domu miała nas odwiedzić Olka. Przecież nie pójdziemy pieszo, ciemno i w ogóle... Wydobyłyśmy parę groszy z kieszeni, ale po rzutce starczyło nam tylko na dwie suche bułki i jeden soczek w kartoniku. Byłyśmy zdenerwowane i złe na naszą koleżankę. Nie mogłyśmy uwierzyć, że ona, właśnie ona, wydawała się taka fajną i naprawdę w porządku osobą, ona nas okłamała, zwyczajnie nas oszukała. Wtedy już nic nie mogłyśmy poradzić na nasze nieszczęście, byłyśmy bezradne. Bez pieniędzy nie ma ani jedzenia, ani powrotu do domu. Poszłybyśmy do kogoś, ale nikogo w Grudziądzu nie znałyśmy. Już nie chciałyśmy nawet próbować odnaleźć Oli, bo kto wie, w co by nas jeszcze wpłatała. Mogłyśmy tylko czekać do jutra i próbować coś wymyślić w tym czasie. Wpadłyśmy na pomysł. A mianowicie, że następnego dnia z rana poszukamy jakiejś małej robótki, aby zarobić na bilety czy kartę telefoniczną. A gdzie miałyśmy spać? Przyszło nam spać na dworcu kolejowym. Z przerażeniem zasnęłyśmy. W nocy jakiś pijak do nas się przyczepił. Złapał Magdę za kolano, więc się obudziła i obudziła mnie. Gadał coś do nas od rzeczy, przerażone uciekłyśmy. Zaczął nas gonić po całym dworcu. Chwila jego nieuwagi wystarczyła i stracił nas z pola widzenia. Przewrócił się, na nasze szczęście, a my się dobrze skryłyśmy. Dobrze, bo rano obudziłyśmy się w tym samym miejscu. Obudziłyśmy się około dziesiątej. Wiadomo, że o tej godzinie trudno nam było znaleźć pracę. Wygłodniałe i przemęczone chodziłyśmy z miejsca na miejsce. Chyba pół dnia tak przechodziłyśmy. Na szczęście jeden miły pan zgodził się, abyśmy u niego sprzątały składzik koło sklepu. Miałyśmy

posprzątać dosłownie wszystko. Dobry człowiek dał nam trochę ciepłego obiadu przygotowanego przez jego przemilą żonę, którą poznałyśmy, panią Daneczkę. Żona pana Makarego lubiła, jak zwracaliśmy się do niej „pani Daneczko”. Przychodziła do nas czasami, opowiadałyśmy jej i jej mężowi naszą historię. Ale spać u nich niestety nie mogłyśmy. Więc nigdzie indziej, jak tylko przyszło nam spać znowu tam, gdzie się skryłyśmy przed tym pijakiem.

Drugiego dnia pracy, niechcąc zbiliam szybę w składziku u pana Makarego. Stało to się podczas mycia okna. Ześliznęłam się z taboretu, na którym stałam i wpadłam wprost na tę szybę okienną. Pan Makary się zezłościł, wyzywał na nas i kazał za karę posprzątać cały ten składzik za darmo, bo przecież wiedział, że nie mamy pieniędzy na szybę. Z poprzedniego dnia miałyśmy trochę kasy, ale niedużo, bo pracowałyśmy przecież tylko pół dnia. To nie wystarczyłoby ani na szybę, ani na bilety. Zatem zgodziłyśmy się na ten układ. Uwinęłyśmy się z robotą w dwa dni. Nie było już tam nic do roboty. Pan Makary dał nam po „snickersie”, podziękowałyśmy i odeszłyśmy.

Drugiego dnia od rana szukałyśmy zajęcia, za które otrzymałybyśmy zapłatę. Chodziłyśmy od sklepu do sklepu i nic nie znalazłyśmy. Weszłyśmy wieczorem do kafejki, aby się ogrzać. Pół godziny siedziałyśmy w ciepелku. Dochodziła osiemnasta. Nagle nie mogłam uwierzyć swym oczom. W drzwiach stanęła pani Krysia, ta która mieszka koło sklepu w naszej wsi, dobra kobiecina. Za nią i jej mężem panem Tadeuszem wgramoliły się do środka ich pocieszne dzieci, czwórka małych urwisów. Usiedli wszyscy do stolika i popijali wcześniej zamówioną herbatę. „No może jest jakaś szansa”, pomyślałyśmy sobie. Nieśmiało podeszłyśmy do ich stolika i z zaciśniętymi gardłami zaczęłyśmy na raz coś opowiadać pani Krysi. Nie zrozumiała, pewnie była czymś innym zajęta. Więc zapytałyśmy wprost, czy mogłybyśmy zabrać się wraz z nimi do Lipinek. Niestety, pan Tadeusz stwierdził, iż chętnie by nas zabrał, lecz nie ma miejsca w samochodzie. Ten miły pan zaproponował nam pożyczkę, abyśmy mogły kupić sobie bilety na PKS. Ucieszyłyśmy się, jak nigdy dotąd, i podziękowałyśmy. Szczęście w nieszczęściu. Dzięki Bogu, że ich spotkałyśmy. O godzinie dwudziestej z minutami miałyśmy autobus. Wsiadłyśmy do środka i zadowolone usiadłyśmy na miejscach. Wyjrzałyśmy za okno, a tam ktoś znany. Tak był tam ten nasz znany pijak. Biedny! Chodził po ulicy i żebrał o kawałek chleba. Pewnie tamtej nocy też nie miał złych zamiarów wobec nas. Było nam go żal. Pomachałyśmy mu przez szybę, a on spojrzał na nas i delikatnie się uśmiechnął. To był pewnie dobry człowiek i nie pijak.

Całą drogę rozmawiałyśmy o naszej przygodzie. Stwierdziłyśmy, że będzie co opowiadać. Dobrze, że to się tak skończyło, a nie inaczej, bo kto wie, co by mogło się stać...

Och, ta Olka, dała nam nauczkę na całe życie!

Takie całkiem nieduże kłamstwo, a mogło doprowadzić nie wiadomo do czego. Dwie nieletnie dziewczynki chodzące po mieście bez opieki i w nocy bez

dachu nad głową, przecież to niebezpieczne. Na ile niebezpieczeństw były one narażone przez takie kłamstwo, to aż niewyobrażalne. Więc nie powinniśmy wierzyć każdemu tak do końca. I czy to kłamstwo, to nie jest poważny grzech? To niesprawiedliwe, że ten kto okłamał, sprawca tego wszystkiego czuje się normalnie, nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Jak tak można? Kłamstwo jest grzechem i to jak ciężkim. Może i taką chciwość przerasta, ponieważ to od niego wywodzą się pozostałe grzeszki. Kłamstwo czyni więcej zła niż chciwość.

Nie wiem, jak inni, ale ja uznaję kłamstwo nie tylko za ósmy grzech światowy, ale przeniosłabym go na pierwszą pozycję w hierarchii zła.

Być Europejczykiem

„Co to znaczy być Europejczykiem?”

Ostatnio dużo się mówi o Europie i o nas – Europejczykach. Dlatego zastanawiam się, „co to znaczy być Europejczykiem?” Rozważając powyższe zagadnienie, doszłam do wniosku, że Europejczyk, to mieszkaniec kontynentu europejskiego. Osoba, która zna kulturę europejską i jest świadoma korzyści płynących z przynależności do Unii Europejskiej. Poniższymi argumentami postaram się udokumentować moje stanowisko w tej sprawie.

W pierwszym argumencie chciałabym dowieść, że być Europejczykiem, to znaczy mieszkać w Europie. Wszystkich Europejczyków, niezależnie od języka, jakim się posługują, religii, jaką wyznają, czy kraju z jakiego pochodzą, łączą europejskie korzenie kultury. Zespala ich wspólna przeszłość i historia, jak chociażby użycie pojęcia „Europa” (powstałe w średniowieczu).

Uważam, że powyższy argument jest dowodem na to, że być Europejczykiem, to znaczy pochodzić z kontynentu europejskiego.

W kolejnym argumencie postaram się wykazać, że być Europejczykiem, to znaczy znać i propagować kulturę europejską. Jako Europejczycy mamy wspólne tradycje. Są one zupełnie inne niż te panujące w Afryce czy Ameryce. Charakteryzują tylko kontynent europejski. Świadczą, jednocześnie, o indywidualności naszego dziedzictwa kulturowego. Powinniśmy starać się podtrzymywać je i wdrażać w życie. Przekazywać z pokolenia na pokolenie i nie dopuścić, aby kolebka naszej europejskiej kultury zginęła.

Sądzę, że treść powyższego argumentu uzupełnia odpowiedź na pytanie „co to znaczy być Europejczykiem?”

Przytoczę jeszcze jeden argument, w którym udowodnię, że być Europejczykiem, to znaczy chcieć aktywnie i świadomie wstąpić do Unii Europejskiej. Polska jako jeden z krajów europejskich, a razem z nią ja – Europejka, mamy szansę wstąpić do Unii Europejskiej. Właśnie w obliczu tej szansy mnie i mój kraj spotka wiele zmian. Jako Europejka powinnam wiedzieć, co mnie czeka. Zdając sobie sprawę z korzyści, jakie niesie ze sobą przynależność do Unii Europejskiej muszę umieć je wykorzystać. Ta świadomość pozwoli mi, po ukończeniu odpowiednich szkół, podjąć pracę na terenie Unii. Wiedząc, jakie instytucje unijne chcą mi pomóc, będę mogła czuć się w niej bezpiecznie.

Uważam, że będąc Europejczykiem, muszę wiedzieć, jakie korzyści przyniesie mi przynależność do Unii Europejskiej.

Sądzę, że przedstawione argumenty wystarczą, aby przekonać o słuszności moich refleksji i wniosków, dotyczących odpowiedzi na pytanie „co to znaczy być Europejczykiem?”

„Co to znaczy być Europejczykiem?”

Czy bycie Europejczykiem oznacza tylko zamieszkiwanie tego kontynentu? Uważam, że takie myślenie jest zbyt ogólne i niepełne, ponieważ prawdziwy Europejczyk, to przede wszystkim człowiek wszechstronny, posiadający pozytywne cechy, interesujący się kulturą, osiągnięciami i problemami swojego i innych krajów. Poniżej postaram się uzasadnić moje zdanie.

Na początku chciałabym zaznaczyć, że Europejczyk swoją systematyczną pracą zmierza do osiągnięcia wykształcenia. Zdobywając dobre wyniki w nauce będzie miał większe szanse na wykonywanie wymarzonego zawodu, a w ten sposób przyczyni się do rozwoju własnego kraju. Poza tym będzie dumny, że zrobił coś dla swojej ojczyzny. Także poznawanie obcych języków umożliwi mu przybliżenie kultury innych państw. Nie mam wątpliwości, że wykształcenie to jedna z cech prawdziwego Europejczyka.

Kolejnym argumentem jest fakt, iż Europejczyk na równi traktuje wszystkich mieszkańców kontynentu. Potrafi uszanować inne poglądy i religie, ponadto nie dzieli ludzi na lepszych i gorszych. Zna także zwyczaje i tradycje panujące w państwach europejskich. Mogę zatem stwierdzić, że przestrzeganie praw człowieka jest kolejną cechą Europejczyka.

Na potwierdzenie tezy przytoczę kolejny argument. Prawdziwy Europejczyk pragnie pokoju na swym kontynencie i całym świecie. Solidaryzuje się z krajami, które były lub są w stanie wojny. Smuci się z powodu tylu nieszczęść i cierpień ludności cywilnej. Jednocześnie zadowolony jest, że przez wspomaganie instytucji charytatywnych może pomóc innym ludziom. Uważam, że powyższej potwierdziłam moje zdanie.

Przejdę do omówienia faktu, iż Europejczyk dąży do zachowania jedności między innymi krajami. Popiera także organizacje takie, jak NATO czy Unia Europejska. Śledzi sprawy i poczynania dotyczące tych właśnie organizacji. Popiera uczestnictwo uczniów w wymianach między krajami, dzięki którym lepiej poznają sąsiednie państwa. Myślę, że wyjaśniłam, jak ważna dla Europejczyka jest integracja międzynarodowa.

Jestem przekonana, że na podstawie moich argumentów można stwierdzić, iż bycie Europejczykiem, to rezygnowanie z własnego egoizmu, a interesowanie się sprawami całej Europy – sprawami drugiego człowieka. To zachowania prowadzące do polepszenia losów innych ludzi.

„Co to znaczy być Europejczykiem?”

Niedługo wejdziemy do Unii Europejskiej, z tego też względu będziemy pewniej mówić o sobie: „jestem Europejką”, „jestem Europejczykiem”. Ale, co to właściwie znaczy?

Myślę, że być Europejczykiem to z pewnością nie tylko puste słowa – czy jałowe odpowiedzi na tak postawione pytanie. Być Europejczykiem, to nie znaczy zamykać się w obrębie własnego państwa, ale zwiedzać inne piękne kraje Europy. Czuć, że naszym wspólnym domem jest Europa, a my jesteśmy jego domownikami. Nie bać się podróżować po innych krajach, umieć korzystać z dorobku wielu państw, czyli zwiedzać je i podziwiać, czuć się w nich jak we własnym państwie. Jeżeli Europa jest naszym wspólnym domem, to gdy zajdzie taka potrzeba, moim zadaniem, należy o nią walczyć. Wtedy możemy powiedzieć, że jesteśmy Europejczykami.

Unia Europejska, czyli wspólnota państw Europy, jest zwolennikiem wolności, demokracji, poszanowania praw człowieka, dlatego będąc częścią Europy powinniśmy przyjąć taką postawę.

Być Europejczykiem nie wymaga ogromnego poświęcenia, czy wysiłku. Wystarczy nauczyć się tolerancji dla mieszkańców pozostałych państw europejskich i całego świata. Nie odczuwać do nich pogardy, dlatego że mieszkają w innym państwie, może bogatszym, a może biedniejszym od naszego. Ważne jest to, że są oni częścią naszej wspólnoty. Określenie być Europejczykiem, znaczy akceptować wszystkich takimi, jakimi są. Jak już wspomniałam wcześniej być mieszkańcem Europy, to znaczy nie zamykać się w obrębie własnego państwa, a także wykazać się znajomością europejskiego dziedzictwa kulturowego i tradycji chrześcijańskich. Interesować się innymi krajami, a nie tylko wiedzieć, że one istnieją. Być mieszkańcem Europy to, przede wszystkim ją kochać, a także czuć więź emocjonalną z innymi mieszkańcami Europy.

Sądzę, że bycie częścią Europy nie należy do najłatwiejszych zadań, ale nie jest też najtrudniejszym. Przemyśłmy to i zastanówmy się: ile nam brakuje do takiej postawy Europejczyka?

Tytuł Europejczyka zobowiązuje

Europejczyk, to mieszkaniec Europy, to ten, który mieszka w jednym z państw europejskich. Określenie „być Europejczykiem” oznacza poczucie silnego związku z Europą, czyli ze Starym Światem.

Ktoś, kto chce być związany z Europą, musi spełniać pewne warunki. Prawdziwy mieszkaniec tego kontynentu powinien wykazać się znajomością europejskiego dziedzictwa kulturowego. Znać budowle, takie jak: Koloseum, Partenon, Akropol, czy Łuk Triumfalny. Prawdziwy Europejczyk powinien znać słynne dzieła i stwierdzenia Sofoklesa, Platona, Arystotelesa, czy Horacego. Rzeźby Michała Anioła, Fidiasza, Myrona nie powinny stanowić żadnego znaku zapytania dla Europejczyka. Głębiej analizując wyżej wymienione zabytki, należy stwierdzić, że Europejczyk powinien znać grecko-rzymski antyk oraz tradycje chrześcijańskie.

Powszechnie znana jest definicja demokracji. Jest to ustrój polityczny, w którym władza należy do społeczeństwa, do wolnych obywateli. Poczucie związku z Europą oznacza bycie zwolennikiem takiego systemu ustrojowego. To przede wszystkim poszanowanie praw człowieka oraz zasad prawdziwej tolerancji międzyludzkiej.

Chcę udowodnić, że człowiek, którego łączy więź z Europą, potrafi korzystać z dorobku wielu państw. Wie, że zamykanie się w obrębie własnego państwa, nie da mu związku z Europą. Osiągnięcia naukowe, czy techniczne innych krajów powinny znaleźć się w jego otoczeniu. Związany z Europą rozumie, że ogromne zyski innych państw płynące z rozwoju rolnictwa i przemysłu, dają możliwość udziału w tym zysku nie tylko mieszkańcom kraju, w którym nastąpił postęp, ale wszystkim Europejczykom. Temu, który chce być związany z Europą jest wiadome, że może uczęszczać do szkół, na uniwersytety, które znajdują się poza granicami jego kraju.

Człowiek tworząc Europę w najróżniejszy sposób, np. pisze o Europie, maluje ten kontynent, decyduje o losach Starego Świata, czyli jest odpowiedzialny za losy Europy – jest w ścisłym związku z Europą. Noszenie tytułu Europejczyka oznacza powiązanie z jakże bogatą kulturalnie i gospodarczo Europą.

„Co to znaczy być Europejczykiem?”

Kilka lat Polska starała się o wstąpienie do UE. Robimy wszystko, aby podnieść standard życiowy Polaka, wyeliminować lub zmniejszyć bezrobocie, a wszystko dlatego, aby stać się dobrym partnerem dla innych państw. Chcemy być traktowani na tych samych prawach, co mieszkańcy krajów unijnych. Chcemy być Europejczykami w każdym calu. Czyli tak właściwie kim? Europa składa się z wielu państw, a jak wiadomo, co kraj, to obyczaj. Czy można więc stworzyć obraz standardowego Europejczyka? Może nieprecyzyjnie, bo każdy człowiek jest inny, jednak są cechy, które określają mieszkańca Starego Kontynentu.

Nasi sąsiedzi (nie tylko Niemcy, ale cała piętnastka) to patrioci. Szanują kulturę i tradycje swoich narodów. Pielęgnują swoje zwyczaje. Są przy tym bardzo otwarci i przyjaźnie nastawieni do nas i do siebie nawzajem. Przyjmują z otwartymi ramionami obcokrajowców i traktują ich na równi z rodakami. Są tolerancyjni, nie musimy się obawiać niechęci z ich strony; przeciwnie: zawsze starają się pomóc przybyszom.

Europejczycy są bardzo dobrymi partnerami. Współpraca z nimi zazwyczaj układa się świetnie. Mają dużo do zaoferowania, ale są też ciekawi propozycji innych. Współpraca taka pojawia się już teraz, np. poprzez wymiany młodzieży, gdzie nastolatki nawiązują kontakty, doskonalą języki obce, poznają kraje.

Myślę, że te cechy: tolerancja, otwartość na ludzi i partnerstwo najlepiej charakteryzują Europejczyka w dobie Unii Europejskiej.

Cały kontynent zjednoczony

Od nie tak dawna Europa stała się tematem przewodnim moich dialogów z różnymi osobami. Często padało pytanie: „Co to znaczy być Europejczykiem?” Większość moich rozmówców stwierdziła, że być Europejczykiem, to znaczy mieszkać w Europie. Oczywiście w pełni zgadzam się z taką wersją rozważań, jednak odpowiedź tego typu nie jest w stanie zaspokoić moich wątpliwości. Zaczęłam poważniej zastanawiać się nad tym problemem. Po głębokim przemyśleniu, z całą pewnością mogę powiedzieć, że słowa: być Europejczykiem niosą wiele więcej treści.

Chciałabym zwrócić uwagę na rzeczy, które muszą być nie tylko znane każdemu Europejczykowi, ale powinny wzbudzać ciekawość i chęć ich poznania. Szczególnie poznanie kultury europejskiej. Jego zainteresowania powinny kierować się także na dziedziny, w których przoduje Europa. Być Europejczykiem, to znaczy być zaangażowanym w sprawy swojego kontynentu, dążyć jednocześnie do doskonalenia życia.

W Europie znajduje się bardzo wiele pięknych zabytków, np. wieża Eiffla, budząca wielki podziw wśród turystów. Oprócz budowli Europa w swoim dziedzictwie kulturowym posiada także inne dzieła sztuki, takie jak: rzeźby, mozaiki, malowidła ściennie w kościołach. Jestem pewna, że każdy Europejczyk zna ich przynajmniej kilka i jest z nich bardzo dumny. Dzieła te, przypominają mu o swoim pochodzeniu, a także odrębności regionu, w którym mieszka. Przypominają mu o tym, że jest Europejczykiem i jako osoba nosząca to miano powinien dbać o te zabytki, aby jak najdłużej zwiedzający mogli cieszyć się ich istnieniem.

Europa przez wiele lat była podzielona na dwie strefy wpływów: Wschodnią i Zachodnią. Mimo to, iż podział ten już nie istnieje, nadal widoczne są jego konsekwencje. Celem Europejczyka jest ich zatarcie, a następnie całkowite zlikwidowanie oraz doprowadzenie do zjednoczenia całego kontynentu. Utworzenie Wspólnej Europy, w której panować będzie wolność, pokój i dobrobyt jest dla Europejczyka trudnym wyzwaniem. Jednak wezwaniem, któremu należy stawić czoło.

Uważam, że każdy Europejczyk jest szczęśliwy, iż mieszka na takim kontynencie jak Europa. Sądzę też, iż w miarę swoich możliwości będzie dążył do ulepszenia bytu w tym regionie świata.

Postawa wobec zła

Odważnie i zgodnie należy walczyć ze złem

Człowiek codziennie ma styczność z różnymi przejawami zła. W jego oczach jest ono postrzegane jako niezgodność z zasadami moralnymi i współzycia społecznego, która niesie ze sobą przykre konsekwencje. Nie brakuje jednak osób, które praktykują czynienie zła. Najczęściej zaczyna się od drobnostek- zazdrości, chciwości, gniewu, braku tolerancji, niewłaściwego wyrażania się o innych, braku szacunku dla starszych itp. Niestety z pozoru nieszkodliwe, drobne grzeszki owocują cierpieniem, bólem nie tylko otoczenia, ale i samego sprawcy. Egoizm przywódców prowadzi niejednokrotnie do konfliktów między narodami czy państwami, wybuchają niepotrzebne wojny, w których nie ma zwycięzców. W kilka chwil zaprzepaszczonego zostaje duchowy i materialny dorobek cywilizacji.

Celem nie zawsze łatwym dla każdej istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boga jest przeciwstawienie się wszelkim przejawom zła. Człowiek nie powinien nigdy się poddawać, jego powołaniem jest czynne przeciwstawianie się problemom. Ważne jest, aby nikt z nas nie pozostał samotny w tej nierównej walce.

Wielu wspaniałych ludzi swym życiem dało nam świadectwo, jak żyć, a czasem nawet, jak umrzeć, by nasze istnienie nie było miałkie i bezowocne.

Prawdziwie odważną i zgodną walkę ze złem prowadził Jezus Chrystus. To właśnie On ofiarował siebie na krzyżu, by zbawić cały świat i każdego z nas z osobna. W ostatnich, najtrudniejszych chwilach życia pozostawał w łączności ze swym Ojcem, Bogiem, poprzez aktywną modlitwę. Podczas drogi krzyżowej został poniżony, sponiewierany, wyszydzony, znieważony. Pomimo ogromnego bólu fizycznego i moralnego szedł dalej, niosąc na swych barkach nasze grzechy, które przybrały formę krzyża. Nie można zapomnieć o tym, że z pokorą przyjmował cierpienie. Mimo iż posiadał moc uzdrawiania, wskrzeszania z martwych, wypędzania złych duchów, nie skorzystał ze swych boskich atrybutów, pozostał człowiekiem, poddającym się woli Wszechmocnego.

Śladem Chrystusa wiernie podążał Ojciec Święty, Jan Paweł II. Papież pielgrzym pokazał wszystkim, jak należy *złem dobrem zwyciężać*. Nigdy nie pozostawał obojętny na ludzkie cierpienie. Był zawsze tam, gdzie panował głód, niedostatek, niesprawiedliwość. Wszędzie, dokąd trafił podczas swych podróży apostolskich, pojawiały się pokój, miłość i radość. Przemawiając, nasz Wielki Rodak trafiał swym słowem do głębi ludzkich serc.

Szczególnie duże znaczenie miała dla niego młodzież, gdyż, w jego przekonaniu, to na niej opiera się Kościół. Wszystkie przejawy triumfu negatywnych wartości łagodził, leczył modlitwą, zjednywał miłością. Podczas pontyfikatu Karola Wojtyły miało miejsce wiele niezwykłych zdarzeń, cudów- ludzie niegodziwi zaczęli czynić dobro, niewierzący swe życie powierzyli Bogu. Za sprawą papieża upadł komunizm, zwyciężyła wolność i solidarność. Powtarzał, że nie ma miłości bez Chrystusa, naszej bramy, prawdy i życia. Przebaczył nawet swemu niedoszłemu zabójcy. Jan Paweł II na zawsze pozostanie dla nas uosobieniem miłości, dobra, pokory i miłosierdzia.

Uważam, iż każdy człowiek, który odważnie i zgodnie pokonuje zwyczajne, codzienne problemy i słabości (lenistwo, nieszczerłość czy nawet własne kompleksy), posiada osobowość godną naśladowania. Aby radzić sobie z wielkimi problemami, należy najpierw zapanować nad błahostkami, by czuć zdrowym zarówno fizycznie, jak i psychicznie, zarażać innych pogodą ducha, być otwartym na drugiego człowieka. Egoista nigdy nie osiągnie prawdziwego szczęścia, bo można je odczuwać tylko przez dawanie i dzielenie się z innymi.

Nie można zapomnieć o tym, że przez odpowiedzialną walkę z niecnymi czynami kształtuje się charakter jednostki, a nawet całego pokolenia. Młodzi ludzie dopiero uczą się odróżniania dobra od zła, dlatego muszą mieć właściwe wzorce, które ukierunkują ich w dokonywaniu odpowiednich wyborów. Jeśli więc dorośli postępują prawidłowo, młode pokolenia będą brały z nich przykład.

Zmaganie ze złem w różny sposób przedstawia się w literaturze. W przypowieści *O synu marnotrawnym* główny bohater musi zaznać goryczy upokorzeń, aby zrozumieć swoje błędy i docenić prawdziwe skarby - dobro, miłość i opiekę ze strony ojca, który potrafi wybaczyć najcięższe grzechy i przewinienia.

Na zakończenie pragnę nadmienić, że aby dobrze wypełniać nauki Jezusa, należy kierować się dobrem i miłosierdziem. Naśladując Syna Bożego i Jego uczniów, zapewniamy sobie szczęście na ziemi i życie wieczne w niebie.

Jestem przekonana, że dzięki odważnej i zgodnej walce ze złem miłość między bliźnimi nigdy nie wygaśnie, lecz swym kojącym płomieniem ogarnie wszystkie ludzkie serca.

„Postawą człowieka dzisiejszego wobec jawnego zła jest często naiwność i nieodpowiedzialność”

Od dawna nurtował mnie problem naiwności i nieodpowiedzialności za swoje słowa i czyny, które w dzisiejszym świecie wyrządzają tyle zła. Wiem, że nie ma ludzi całkowicie złych i idealnych, jednak aby nasze życie stało się lepsze, musimy częściej analizować swoje postępowanie. Postaram się wykazać, że naiwność i nieodpowiedzialność często towarzyszą jawnemu, szerzącemu się złu.

Zacznę od rozważania problemu dotyczącego nałogów. Coraz więcej ludzi, a w tym młodzieży sięga po narkotyki, papierosy, czy alkohol. Tak często robią to pod wpływem namowy przyjaciół, są tak naiwni, że nie zastanawiają się nad konsekwencjami - uzależnieniem, utratą zdrowia, a nawet śmiercią, którą można spowodować, np. szybko jadąc samochodem w stanie nietrzeźwym.

Z całą pewnością przyczyną szerzącego się zła jest narastająca agresja. Świadczą o tym napady na ludzi i instytucje w celu przywłaszczenia pieniędzy. Często towarzyszy temu przemoc. To wszystko przez naiwność, brak odpowiedzialności, aby zaimponować znajomym, zaistnieć w towarzystwie.

Nie sposób ominąć problemu degradacji środowiska. W wodach i jeziorach pojawia się coraz więcej śmieci, powietrze jest zanieczyszczone, ale jak mało osób się tym przejmuje. Człowiek dba tylko o własne wygodę, a przecież niszczenie środowiska jest wynikiem ludzkiej nieodpowiedzialności, w ten sposób szkodzimy sami sobie.

Kolejnym argumentem jest zło wynikające z prowadzenia wojen i ataków terrorystycznych. Odpowiedzialnymi za to są przywódcy państw, politycy, a nawet przywódcy religijni, którzy w imię źle pojętej religii zachęcają swoich współwyznawców do prowadzenia wojen. Poszkodowanymi są najczęściej niewinni ludzie. Przykładem może być atak na World Trade Centre.

Na potwierdzenie tezy mogę podać kolejny argument. W swojej naiwności i nieodpowiedzialności wyrządzamy wiele zła ludziom, przez wydawanie nieprawdziwych sądów i dbałość tylko o własny interes. Nie mam wątpliwości, że takie zło moralne skrzywdzić może bardziej niż czyn fizyczny.

Moje rozważania byłyby niepełne, gdybym nie przytoczyła jeszcze jednego argumentu. Na świecie jest wiele biednych krajów, a bogate państwa zamiast im pomóc za niewielkie pieniądze wydobywają ich zasoby naturalne, wykorzystują do ciężkiej pracy i nieuczciwie płacą. Te kraje, nie mając odpowiednich środków, nie mogą rozwinąć własnego przemysłu i rolnictwa. Ludzie cierpią głód, zwiększa się liczba chorób i przedwczesna umieralność. Śmiało mogę wyciągnąć wniosek, że brak odpowiedzialności bogatych krajów jest przyczyną zła, które szerzy się w krajach Trzeciego świata.

Myślę, że moje argumenty w pełni potwierdzają tezę, że postawą człowieka współczesnego wobec jawnego zła jest naiwność i nieodpowiedzialność. Uczmy się żyć godnie w społeczeństwie, szanując prawa każdego człowieka.

Nasze wolne rozmyślania o ...

Pamięć

Czy pamiętasz
Tego,
który głosił miłość,
Nawet wtedy,
Kiedy nic nie mówił?
Pokorę i oddanie wyrażał
najprostszym gestem,
który u innych
jest pusty i bez znaczenia .
Każde jego spojrzenie
było jak pieśń dziękczynna
za cud stworzenia.
Przykuwał uwagę nieuważnych,
W sercach niewiernych
siał ziarno wiary.
Uczył, że nadzieja
nie jest beznadziejnym mirażem.
Im drobniejszy się stawał,
Tym potężniejsza wydawała się jego nauka,
Im kruchszy-
Tym twardsze wpajał zasady.
Gdy Jego głos słabł
i wypalał się jak świeca,
potężnym echem zwielokrotniał się
w pustych ścianach zbłąkanej duszy.
Gdy odchodził,
Wielu dopiero wygładziło
Zmarszczki na sercu,
odnajdując ścieżkę w bezdrożach...

Czy pamiętasz?
Nie można wyrzec się
najlepszej części
samego siebie.

Cisza

Chce dziś pomilczeć,
Tak w samotności.
Cisza jest bardzo wymowna,
ma wielką moc -
potrafi wyrazić więcej,
niż bukiet najpiękniejszych słów.
Nie ma w niej fałszu, ukrytych znaczeń,
jadu skrytego w zakamarkach najszczerzych wyznań.
Są tylko myśli-
pozdrowienia z królestwa pamięci.
Nawet te zużyte, zepsute,
wyrzucone na śmietnik zapomnienia
wracają zupełnie niespodziewanie,
natarczywie dobijając się do drzwi świadomości.
Najzabawniejsze są te,
z których dawno wyrosłam,
pojawiają się za ciasne, niedopasowane,
ale tak ciepłe i przytulne,
jak zapach Babcinej drożdżówki,
czerwień sukienki,
w którą wypłakiwałam swe smutki,
wtulona w Mamę,
dźwięki kolędy,
kolor Twoich oczu,
zmienny jak nastroje...
Pomilczymy razem?

Nauczyciel

Byłeś dobry
Jak chleb
Którego smak nigdy się nie nudzi
Jak rada
Gdy bezradność do duszy się wlewa
Jak chwila
Której czas nigdy spłoszyć nie powinien
Jak myśli
Czystsze niż źródłana woda
Jak sumienie
Które wstrzymuje przed grzechem
Jak spokój
Co wlewa w serce ukojenie
Jak miłość
Co chce tylko dawać
Nie biorąc nic w zamian
Jak Ojciec
Który wybacza i cierpliwie czeka
Jak czas
Co leczy rany i uczy pokory
Jak nadzieja
Która zostaje gdy wszystko zawiedzie
Jak wiara
Że jesteś
Choć już Ciebie nie ma...

Zbawienie dla wybawcy

Nie jesteś chlebem ni owocem świata,
Gdy twarz strapioną otulasz w szal smutku.
Stajesz się wtedy kimś obcym, dalekim,
Może się wszystko od ciebie oddala...
I jesteś znowu fałszywym prorokiem,
Nikogo nie zbawisz, potępisz sam siebie
Gdy wątpisz, że kiedyś w przyptywie słabości
Bóg uśmiech stworzył z łez pierwszych grzeszników
I pragnie tworzyć go co dzień na nowo.
Świat znów się staje brzydki, zły i szary,
Jak zakamarki twojej strapionej duszy...

* * *

Iskra radości zabłysła w twym sercu-
Już pożar szczęścia spopielił zwątpienie.
I chcesz, by inni w świetle tej pożogi
Znaleźli drogę w labiryncie trwogi,
Aby ogrzali swe zziębnięte serca,
Ciepłem, którego żaden mróz nie zmoże.
Wypędzać możesz duchy i demony,
Uśmiechem, gestem, uczynkiem i słowem,
Ziarnko w twojej ręce staje się planetą,
Masz moc natury i potęgę Boga
I mógłbyś wskrzesić z niebytu Łazarza...
...Gdybyś miał siłę podnieść się z fotela...

* * *

Nie jesteś chlebem ni owocem świata...

Jeżeli chcesz...

Jeżeli chcesz być szczęśliwy,
rozdawaj radość jak cukierki.
Chcesz byś siewcą radości?-
noś w sobie ziarno szczęścia,
bo kto przyjmie lekarstwo na smutek
od smutnego lekarza...
Jest on tak samo niewiarygodny
jak kardiolog bez serca,
bezduszny kaznodzieja,
bezbarwny motyl
czy zadowolony z wiersza poeta...
Więc mnoż dobre chwile,
dzieląc je z bliźnimi.
Odejmuj troski, dodawaj siły,
wyciągaj wnioski i pomocną rękę.
Podaruj bukiet uśmiechów smutnej koleżance,
Zapakuj dobre myśli w pudełko szczerych życzeń,
zawiąż je wstążką jasnego spojrzenia
i wyślij pocztą wspólnej wrażliwości.
Weź sprawy w swoje serce...

Wiara

Zgrzeszyła.
Uśmiech zaklęty w starej fotografii,
młodzieńcza siła w wesoło smutnych oczach
uśpiły jej czujność.
Myślała:
On będzie zawsze,
weźmie na siebie całą jej słabość i wątpliwości,
rozgrzeszy lekką ręką (choć coraz cięższą i bardziej rozedrganą).
Więc często zapominała,
że jest...
Nie chciała dostrzec,
że wciąż wielki- zmalął,
pochylił się pod ciężarem jej beztroski.
Czekała na cud, na ducha, co zstąpi i odnowi ciało,
lecz wiatr tylko przewracał kartki
i zamknął na trumnie Święte Słowa,
jak ostatni rozdział księgi życia .
Została sama.
Pewnej nocy,
która nie chciała już odchodzić o świcie,
gdy na mgnienie wieczności
uniosła się ponad mokre od łez posłanie
utkane z żalu i zwątpienia,
przez pryzmat duszy Go ujrzała
w białej albie, z uniesioną dłonią...
Znów młody,
choć pochylony
i pomarszczony jak orzech włoski z ziemi polskiej.
Uśmiechał się, zlizując z warg resztki kremówki.
Groził jej palcem (czyżby Bożym?)
niezbyt groźnie.
I choć wymownie nie mówił.

Słyszała głos dźwięczny jak dzwon na Anioł Pański:
Szukałem cię, a teraz ty przyszedłeś do mnie
I zrozumiała, że nie odszedł,
że jest w każdej dobrej myśli,
która przed snem
przemyka jak spłoszony motyl.
Znów mogła góry przenosić.
Wierzyła...

Ścieżką

Święte dzieło natchnionego Słowa,
Co było na początku
I trwa ponad czasem,
Napełnia serce promieniem miłości,
Który wyznacza doskonałą formę
Opiekuńczego koła.
Rośnie, pęcznieje i rozbłyska eksplozją Miłości,
Wskrzesza zabłąkane dusze,
Wzmacnia niewierne stworzenia,
Magią Gwiazdy Polarnej,
Spopiela pokusy grzywą słonecznej korony,
Zachęca do podróży Mleczną Drogą,
Otwiera drzwi Wielkiego Wozu.
Dwie gwiazdy Twoich oczu,
Tak blisko i tak daleko,
Rozświetlają tajemnicę przyszłości,
Wygładzają wyboje przeznaczenia
jak błękitne Oko Opatrzności.

Liść

Suchy listek jesienny
bez pośpiechu, bo bez przyszłości,
opada bezwładnie,
szukając swego przeznaczenia.
Bezwolnie zbliża się do Parku,
w którym Stary Ogrodnik
w niebieskim prochowcu
zatroszczy się o niego
jak o najszlachetniejszy egzotyczny kwiat.
Zgubił gdzieś kolor,
a wraz z nim nadzieję...
Wczoraj jeszcze
młody, zielony
myślał, że drzewo bez niego niewiele znaczy.
Dziś pomarszczony jak zmięty pergamin
dryfuje w ciemność
nieznaną i straszną.
Czasem się daje ponieść
zdradliwym wirom powietrza,
lecz znów uparcie wraca
na drogę,
której nikt jeszcze nie wyznaczył.
I wtedy samarytanka,
poranna rosa,
opatruje rany wciąż zielonej duszy.

„Znacznie trudniej sądzić siebie niż bliźniego”.

„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamień...” Tak powiedział Jezus do ludzi, którzy na własną rękę chcieli sądzić Marię Magdalenę. Zdecydowali się na ukamienowanie. Już mieli wykonać „wyrok”, kiedy Mesjasz wypowiedział powyższe słowa. Z kilkunastu lub kilkudziesięciu ludzi nie pozostał żaden – wszyscy odeszli uświadamiając sobie, z jaką łatwością osądzili tę kobietę. Mimo że nie było wątpliwości co do jej winy, żaden z samozwańczych sędziów nie zdecydował się na pozostanie i wykonanie tego, co wcześniej postanowiono.

Fragment Biblii zawierający tę historię, ukazuje, jak łatwo jest czasem spoglądać na bliźniego krytycznym okiem, jak głupim, nie boję się użyć tego słowa, subiektywizmem kieruje się człowiek w ocenianiu, obserwowaniu świata go otaczającego. Wszystko i wszystkich naokoło potrafimy zdefiniować w kategorii dobra i zła, jednocześnie nie orzekając o przynależności własnej do którejś z nich. Tak, tak. Mimo że człowiek jest istotą rozumną, myślącą (rzekomo – bo nie zawsze na to wygląda) i otrzymał jako własnego, niezależnego i obiektywnego sędziego – sumienie, nie potrafi spojrzeć na elementy rzeczywistości go otaczającej „okiem prawdy”. Czasem chociaż, posiada takowe oko, jest ono zdeformowane przez własne wewnętrzne, nieczyste oblicze.

Mówi się, że oceniamy innych własną miarą. Nie zawsze nasza osobista miara ma odpowiednią skalę do rozpatrywania cudzych zachowań, poglądów, czy wartości.

Teoria względności Einsteina w pewnym sensie ma związek z myślą: Znacznie trudniej jest sądzić siebie niż bliźniego. Teoria ta bowiem głosi (oczywiście w dużym skrócie i uproszczeniu), że wszystko zależy od punktu widzenia. Przypuśćmy, że dwie osoby, ty i jakaś ci nieznana, popełnicie taki sam czyn. Niech będzie to kradzież batonika w sklepie. Kiedy usłyszysz, że ktoś ukradł – wielkie oburzenie, jak tak można, przecież to niemoralne... Jednakże rozpatrując własne zachowanie dasz sobie tzw. „taryfę ulgową”. Będiesz szukać usprawiedliwień: bo przecież nie mogłam/em inaczej. Niestety. Jak przyznać, że zrobiło się coś okropnego, niewybaczalnego? Zaiste bardzo trudno.

Pamiętam sytuację, kiedy razem z koleżankami „obmawiałyśmy” inną kumpele za jej plecami (wstyd się przyznać, ale takie zdarzenia miały miejsce). Żadna z nas nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia. Normalna rzecz, i

już. Kilka dni później dowiedziałam się, że ta sama dziewczyna skrytykowała moje nowe spodnie. Poczułam się okropnie. Zdradzona, wyśmiana... I wiele innych takich negatywnych słów. Jak ona mogła, jakim prawem! To nie jej sprawa jakie mam spodnie itd. Podzieliłam się moimi odczuciami z koleżankami, a te stwierdziły: „To co z tego. Ty też ją obgadywałaś...”. Uczucie jakby ktoś mnie spoliczkował. Po prostu tragedia. Powiedziałam wtedy sobie, że to co innego, ja a ona... Teraz zastanawiam się, dlaczego ja niby mogę rzucać nieprzyjemne słowa na innych ludzi, a oni na mnie... nie? Z biegiem czasu potrafię teraz ocenić moje zachowanie, przyznać się do błędu. Jednak w czasie tamtych dni nigdy bym się nie zdobyła na słowa krytyki w stosunku do własnej osoby.

Właściwie cały czas szukam przyczyny takich zachowań. Dlaczego boimy się oceniać siebie? Dlaczego to jest takie trudne? Myślę, że to wynika z chęci bycia lepszym niż się jest naprawdę. Jeżeli bowiem przyznamy się do błędów i otwarcie sobie powiemy, że postąpiliśmy źle... wówczas czujemy się gorsi, jakby hmm... mniej ludzcy. Tyle przecież w naszej religii mówi się o grzesznikach. Jakie to dotkliwe kary ich spotykały ze strony bliźnich. Odrzucenie, potępienie, a czasem nawet śmierć. Dlatego też nie osądzamy siebie tak samo łatwo jak bliźnich, bo boimy się negowania naszych zachowań. Tymczasem jednak zgodnie ze słowami niemieckiego teologa, filozofa, laureata pokojowej Nagrody Nobla w 1952r., Alberta Schweitzer’a: **„Ten, kto ma odwagę sądzić samego siebie, staje się lepszy”**. I ja w to głęboko wierzę! Będziemy lepsi mówiąc prawdę i akceptując siebie, bez względu na to kim jesteśmy. Sądząc siebie, a nie innych ukazujemy drogę prawdy...

Bezsprzecznie trudniej jest sądzić siebie niż bliźniego. Co do tego nie ma wątpliwości. Pytanie jednak nasuwa się zgoła inne: Co zrobić, jak zdobyć się na odwagę i sądzić samego siebie? No właśnie. Nie można ciągle uciekać przed nieuniknionym. W końcu, w pewnym punkcie przyszłości przyjdzie nam zapłacić, odpokutować za wszystkie nasze uczynki. Lepiej osądzić, jaką mają wartość pozytywną czy negatywną, wcześniej, aniżeli w momencie wyrównywania rachunków. Wtedy bowiem może nas spotkać rozczarowanie i zaskoczenie tym, że więcej było tego złego, niż dobrego. Jeżeli wcześniej zapoznamy się z wartością naszych działań, łatwiej będzie nam odrobić starty... Jednym z moich celów życiowych jest nauczenie się obiektywnego sadzenia siebie samej. Postaram się osiągnąć ten cel, nawet, jeżeli będzie mnie to kosztowało ogromnego wysiłku i pracy nad własnym charakterem.

„Starać się być szczęśliwym, bo tylko tacy ludzie mogą dać szczęście innym..”

W sobotni poranek obudziłam się o 4⁴⁰, co nie jest normalne. Jestem zwyczajną szesnastolatką lubiącą dobrze się wyspać, szczególnie w weekendy. W mojej głowie kołatała się pewna myśl: „**Starać się być szczęśliwym, bo tylko tacy ludzie mogą dać szczęście innym**”. Kilka dni wcześniej poinformowano nas w szkole o konkursie, którego tematem są powyższe słowa. Nie wiem dlaczego nagle, w środku nocy, zaczęłam rozmyślać, jak to właściwie z tym szczęściem jest. Czułam się, jakby jakiś wewnętrzny głos chciał przemówić przez moje usta... Wiem, brzmi to trochę nierzeczywiście i absurdalnie, ale tak było! Kwestia szczęścia człowieka, a także dawania szczęścia innym jest trochę bardziej skomplikowany, niż się wydaje.

Złożoność tego zagadnienia polega na ustosunkowaniu się człowieka do definicji szczęścia, a ściślej rzecz ujmując, do tego, co rozumiemy pod tym pojęciem. Dla ludzi o gorących sercach, szczęściem będzie brak głodu na świecie, czy wszechobecna tolerancja wśród mieszkańców Ziemi. Człowiekowi egzystującemu w matni materialistycznego świata, do osiągnięcia pełni szczęścia, konieczne będą pieniądze, bogactwa, luksusowe samochody... Być może dla innych najważniejsze będą dzieci, mąż czy żona – rodzina. Wszystko zależy od tego, co uważamy za szczęście. Jeżeli chodzi o mnie, dzisiaj pragnę tylko, aby moja rodzina była zdrowa, chcę skończyć gimnazjum, później liceum i w końcu wyższą uczelnię, a także spotkać tę jedną, jedyną osobę, która będzie ze mną do końca życia... Myślę, że jeżeli zrealizuję to, co sobie zamierzyłam, osiągnę także pełnię szczęścia.

Całe życie najbliżsi powtarzali mi, że nie mogę stać i czekać z założonymi rękami, aż moje pragnienia same się spełnią, że muszę walczyć o ich urzeczywistnienie. Dziś sama potrafię dojść do podobnych wniosków. O wszystko trzeba walczyć! Nie można liczyć, że to, czego pragniemy spadnie nam z nieba. Może byłoby pięknie, jednakże nie ma takiej możliwości. Dlatego też uważam, że trzeba się postarać, aby osiągnąć szczęście. Niektórzy mogą powiedzieć, że nie wiedzą, jak pomóc sobie w osiągnięciu szczęścia. Natomiast ja uważam, że zawsze można zdziałać coś w tym kierunku. W pewnym stopniu szczęście możemy osiągnąć, poprzez realizowanie postawionych sobie celów, spełnianie własnych ambicji. Właśnie dlatego tak ważne jest samozaparcie i wewnętrzna siła. Jeżeli wyznaczymy sobie pewne cele i postaramy się o ich dokonanie – osiągniemy szczęście. Uczciwie mogę stwierdzić, że w swoim, bądź

co bądź, krótkim życiu postępowałam właśnie zgodnie z tą zasadą. Mogę też nazwać siebie osobą szczęśliwą. Wydawałoby się, że ktoś taki jak ja powinien się załamać i nie pozwolić sobie na osiągnięcie szczęścia. W tym miejscu należą się krótkie słowa wyjaśnienia. Jestem szczęśliwa, mimo że moja mama nie żyje, a ojca nie znam, mimo że straciłam babcię, dziadka... Jestem jednak szczęśliwa, gdyż potrafię cieszyć się z tego, co mam. Mieszkam z ciocią, wujkiem, kuzynką i teraz oni są moim szczęściem! Myślę, że wybiegam jednak troszeczkę za daleko. Jak teraz powiązać zdobywanie szczęścia z daniem go innym?

Szczęście niezaprzeczalnie jest powiązane z radością i zadowoleniem. Te natomiast, wywołują na twarzy uśmiech, przez co z całej naszej osoby wydaje się bić aura szczęśliwości. Wchodząc do sklepu, uśmiechamy się do ekspedientki, której z pewnością zaraz robi się cieplej na sercu... Tak właśnie działa nasze szczęście. Będąc szczęśliwymi, rozsiewamy wkoło siebie atmosferę radości, spokoju, harmonii... Łatwiej jest także dzielić się z innymi, kiedy jesteśmy zadowoleni. Człowiek nieszczęśliwy okazuje pesymizm i frustrację, co również wpływa na jego otoczenie. Mając szczęście, potrafimy także ze spokojem przyjmować rzeczy mniej przyjemne, i dzięki temu uwalniamy od nich naszych najbliższych. Dla osób chorych i nieszczęśliwych zbawienna jest obecność ludzi szczęśliwych. Ci bowiem zarażają swoją radością i optymizmem, pomagając w osiągnięciu szczęścia, a właśnie to jest bardzo ważne – dawanie szczęścia innym, nie tylko jego osiągnięcie. W życiu trzeba nie tylko brać, ale i dawać – stara i dobrze znana maksyma, jednak jak bardzo słuszna, prawda?

Dlatego tak ważne jest zdobywanie szczęścia – mając szczęście dajemy je innym... Dzieleniu się szczęściem z innymi towarzyszą niezwykle uczucia: dobroci, spełnienia własnego człowieczeństwa, zadowolenia... Poprzez osiągnięcie szczęścia na Ziemi, człowiek chce żyć i rozumie, jak wspaniałe jest ziemskie życie. Z całego serca życzę wszystkim ludziom, aby chociaż przez kilka chwil swojego życia, mogli zaznać prawdziwego szczęścia...

Wodne fascynacje

Czy zawsze tak będzie?

Czyż krople deszczu, które do jeziora spływają,
Oczyszczają?
Czy nie czujesz dreszczyku,
Stojąc w letnim deszczu?
Przyznaj, że wówczas
Rodzi się nowe życie!
Ale czy zawsze tak będzie?

Czyż szum przepływającej bystro wody,
Dostarcza swobody?
Czy wraz z falą odejdzie, co było,
To co się zmieniło?
Przyznaj, jesteś ciekawy, co przyplynie,
I wywoła zachwyt w tobie.
Ale czy zawsze tak będzie?

Czyż po ciężkiej pracy, gdy czujesz zmęczenie,
Od łyku wody zginie pragnienie?
Czy sądzisz, że bez wody zwierzyna
Zwiędłaby jak kalina?
Przyznaj, że w żaden sposób ci nie wadzi,
A wiesz, że nikt bez niej sobie nie poradzi.
Ale czy zawsze tak będzie?

Czyż nie ogarnia cię strach
Gdy zalewa domy aż po dach?
Czy nie pomyślałeś wtedy o sobie
I nie poczułeś, że twoja wytrzymałość słabnie?
Przyznaj, że nie wypływasz na środek jeziora,
Bo boisz się, że cię wciągnie głębinowa zmora.
Ale czy zawsze tak będzie?

Czyż nie zauważyłeś, jak ważna jest woda?
Raz sieje zniszczenie,
Innym razem daje istnienie.
Płynący potok porywa nieprzyjemne wspomnienia.
Przyznaj, że bez niej życie byłoby niczym.
A jej pragnienie marzeniem wiecznym!
Ale czy zawsze tak będzie?

Łyse

Porośnięte trzcinami Łyse jezioro,
w nim ryby dobrze biorą.
Zwinne wydry pływają,
Na leszcza chętkę mają.

Tam szczupaki są jak słonie,
lecz nie mniejsze są okonie.
Żurawie gniazdo w trzcinach uwite,
To wprost niesamowite.

Karpie liny i węgorze.
Każda ryba pływać może.
Mnóstwo lilii i grzybieni,
w wodzie czystej aż się mieni.

Orzeł bielik też tu gości,
jezioro obserwując z wysokości.
Czasami też dzikie kaczki tu się płoszą,
I pod niebo dumnie wznoszą.

Każdy jeleń i dzik,
przyjdzie wodę tu pić.
Nawet piżmak czy szczur wodny,
Mają żywot tu swobodny

Łyse prawem jest chronione,
Także uważaj tu jest wszystko zabronione.

Moje wodne fascynacje

Jestem wodnikiem i jak każdy spod tego znaku uwielbiam wodę. W wakacje, gdy nie ma ładnej pogody i nie mogę iść nad jezioro wykapać się, jestem po prostu w złym humorze. Jednak zawsze korzystam z wody tylko tam, gdzie są wyznaczone do kąpieli odpowiednie miejsca.

Jak daleko sięgam pamięcią, przypominam sobie, że lubiłam chodzić nad jezioro. Chociaż nie umiałam pływać, to zabawa w wodzie dostarczała mi również wielu wrażeń. Do zabawy w chlapanie wodą z kuzynką włączał się zawsze mój kuzyn i wtedy było wspaniale. Tych chwil spędzonych nad i w wodzie nigdy nie zapomnę, a także takich wodniackich wakacji. Może nie są jakieś nadzwyczajne, ale to moje jedne z najprzyjemniejszych wakacji w moim życiu i nie wyobrażam sobie, jak mogłabym je inaczej spędzić.

Wydawało mi się, że chociaż nie jestem wyczynową pływaczką, to i tak jest tak, jakbym urodziła się maniakalnym wielbicielem sportów wodnych. Ktoś może powiedzieć, że woda jest niebezpieczna. Pomyłka. Warunkiem bezpieczeństwa jest mądre korzystanie: w dozwolonych miejscach i w towarzystwie osób rozważnych, a także dobrze pływających. Wówczas pływanie to najwspanialszy sport. Mój wujek, ratownik, powiedział, że jestem umiarkowanym pasjonatem wody. W wodzie mogę długo siedzieć i trenować pływanie, ale robię to z dużym wyczuciem wodniaka. Satysfakcja z osiągania nowych rekordów w postaci coraz dłuższych dystansów była tym, czego wcześniej mi brakowało. Możliwość oglądania plaży i otoczenia z miejsca, w którym woda sięga mi do szyi, to wspaniałe przeżycie. Za jednym obrotem można zobaczyć brzeg nad całym jeziorem. Przypadkiem podglądana przeze mnie rodzina perkozów zanurkowała w jednym momencie. Na wodzie sylwetki tych pięknych ptaków pojawiły się po dłuższym czasie przebywania pod wodą. To jest niebywałe, jak ptaki stworzone do latania mogą tak długo przebywać pod wodą.

W połowie lipca, tak się złożyło, że była u mnie kuzynka Natalka i koleżanka z klasy Asia. Obydwie umieją pływać i bardzo to lubią, a więc kąpielisko i plaża były przez nas oblegane codziennie. Na początku nakłoniłam je do przyjrzenia się perkozom i innym ptakom wodnym. Były również zafascynowane tym widokiem. Pod koniec tygodnia zwykle pływanie i obserwacja żyjących nad Rybnem ptaków i innych zwierząt wodnych oraz zabawa przy brzegu nam się znudziła. Wymyśliłyśmy, że będziemy wymyślać nowe style pływackie. Wymyśliłyśmy około dziesięciu. Po dodaniu do nich tych, które już znałyśmy i umiałyśmy nimi pływać, wyszło w sumie piętnaście.

Najfajniejszymi i w sumie dla nas najłatwiejszymi do nauczenia się były: zabka, piesek, kraul, na plecach, syrenka, kaczuska, warszawianka i śruba. Tyle stylów wynalazłyśmy w przeciągu trzech dni. Chociaż nasze osiągnięcia można w pewnym stopniu nazwać „naukowymi”, to zabawa była pierwszorzędna. Czasem któraś z nas przez przypadek zachłysnęła się wodą lub znalazła się pod powierzchnią. To były wspaniałe: pomysły wpadały nam do głów nie wiadomo skąd. Niektóre powstały przez przerobienie jakiegoś, a niektóre to dziwne połączenia dwóch, trzech zupełnie różnych i nie mających ze sobą nic wspólnego.

Dodatkowo wieczorem miałyśmy możliwość obserwacji, jak złote promienie słońca zatapiają w wodzie swoje warkocze. Taflę jeziora wchłaniają otaczające trzciny. Jak księżyc zaczął swoją wędrówkę i odbijał się w wodzie, oglądał swoją twarz w jeziorze. Stojąc na pomoście doznawałam spokoju, czułam, jak robi mi się przyjemnie na sercu. Późny wieczór. Najpiękniejszy widok – przyroda zapada w półsen, tylko owady dawały o sobie znać, chyba one śpiewały kołysanki. Cisza na jeziorze. Słysząc na drugim brzegu uderzenia wiosła. Pewnie rybak wypływał podkarmić rybki.

W pewnym momencie moich marzycielskich myśli usłyszałam znajomy głos – to mój chrzestny. Mama powiedziała, gdzie jesteśmy i przyjechał nam zrobić niespodziankę. Moje zafascynowanie tym widokiem poruszyło go. Zaproponował, abym pojechała z nim nad morze zobaczyć zachód słońca, jakiego jeszcze na oczy nie widziałam. Oczywiście się zgodziłam.

Morze, duża plaża, wody pod dostatkiem i te obiecane przeżycia – coś wspaniałego. Nad morze jechałam pierwszy raz, więc nie wiedziałam, jak tam jest. Byłam mile zaskoczona. Woda może troszeczkę tylko chłodniejsza od tej w jeziorze.

Pierwsze, co zrobiliśmy po przyjeździe, to wyprawa nad wielką wodę. Nie przypuszczałam, że takie wspaniałe jest morze. Powietrze było zupełnie inne niż to w Borach Tucholskich. Roślinność także była inna. To nie był jednak koniec zaskoczeń. Pierwszego dnia morze było spokojne. Bez przeszkód można było pływać w każdą stronę i tak daleko, że aż sił nie starczało. Kuzynka Asia mówiła nawet, że jak będę tak długo siedziała w wodzie, to już w połowie tygodnia znudzi mi się siedzenie w wodzie. Nie posłuchałam jej i słusznie zrobiłam. Następnego dnia fale stawały się coraz większe, a woda coraz chłodniejsza. Gdzieś dalej na morzu był sztorm i na naszym brzegu odczuliśmy jego skutki. Nie zraziliśmy się jednak i jeszcze przez dwa dni chodziliśmy się kąpać. Pływanie było już niemożliwe. Fala uniemożliwiała swobodne pływanie, woda podczas jakiegokolwiek próby pływania wlewała się do ust, nosa i oczu. Jedyne co nam pozostało, to rozbijanie „bałwanów”. Nie byłam jednak rozczarowana, to przecież była kolejna atrakcja, której nigdzie indziej bym nie doświadczyła. Z kuzynką czekałyśmy schowane do ramion w wodzie. Kiedy przyszła duża ładna fala, wzbijałyśmy się w górę i spadałyśmy na wybraną falę. Czasem okazywało się, że źle osądziłyśmy swoje siły i fala nas zносиła do

brzegu. Z każdą minutą trudniej było wrócić w to samo miejsce, ponieważ siła fal wzmagala się.

Następnego dnia okazało się, że tuż przy brzegu fale wybiły głęboki rów, którego ja nie mogłam przejść, ponieważ był już głębszy niż moja wysokość. Pozostały nam tylko spacery brzegiem morza. Po sztormie często można znaleźć na brzegu bursztyny wyrzucone przez fale. My mieliśmy szczęście i udało nam się znaleźć jeden okaz. Później jeszcze długo szukaliśmy, ale ten jeden musiał nam wystarczyć. Czasem na brzegu znajdowałam kamyk łudzaco podobny do bursztynu, ale po wysuszeniu tracił swoje podobieństwo do poszukiwanego bursztynu. Zamiast bursztynów zaczęliśmy szukać kamieni o różnych kształtach i kolorach, których nie brakowało na brzegu.

Podczas jednej z takich wypraw po kamyki doszliśmy do pobliskiej miejscowości wypoczynkowej. Przy schodach prowadzących do Poddąbia – ośrodka wczasowego - znalazłyśmy małe źródło. Woda wypływająca z niego była dużo chłodniejsza od tej w Bałtyku. Zaczęliśmy się śmiać, że woda w morzu jest coraz chłodniejsza przez to małe źródło.

Kiedy wracałyśmy na „naszą” plażę, szłyśmy w miejscu, na które docierają jeszcze resztki fali. Raz spojrzałam w stronę lądu. Krótkie spojrzenie na miniwydmy oraz skarpe, która miała ładny kształt. Stało się. Wpadła na mnie jedna z większych fal. Całe spodnie miałam mokre. Niezłe uczucie: uciekałam przed falą o wiele mniejszymi i pech chciał, że w momencie gdy byłam odwrócona, uderzyła we mnie większa, której się w ogóle nie spodziewałam. Mokre spodnie – to nic. Warto czasem poświęcić jakiś drobiazg dla przeżycia niezapomnianych chwil.

W wieczór poprzedzający nasz wyjazd, wybraliśmy się jeszcze zobaczyć zachód słońca nad naszym Bałtykiem. Kiedy doszliśmy na miejsce, słońce jeszcze było w całości nad horyzontem. Czerwone promienie bijące z samego jego serca rozchodziły się we wszystkie strony. Żar bijący ze środka słońca, które było tak daleko, ogrzewało nas w ten chłodniejszy wieczór. Rozpoczęło się. Czerwonopomarańczowa kula powoli zanurzała się w bezmiar wody. Sam widok rozgrzewał mnie od środka. Niesamowitość chwili podkreślało czerwona morze. Duże, białe bałwany dodawały wyrazu całej uroczystości opuszczenia przez słońce nieba. Próbowałam porównać obserwowany zachód słońca z tym znad jeziora. Każdy urokliwy. Zastanawiałam się, co przeżywał Słowacki, kiedy patrzył na tego typu krajobrazy.

Te kilka dni spędzonych u wujka bardzo szybko minęło. Choć tak krótko, to miłych wspomnień nie zabrakło na cały rok ciężkiej nauki w szkole. W wolnych chwilach myślałam o przyszłych wakacjach: gdzie je spędzę i czy pozostaną mi po nich równie wspaniałe wspomnienia.

Dzięki myślom o wakacjach czas jakby szybciej zleciał i znowu były wakacje, tylko tym razem wybrałam się do Trzemeszna. Wujek zaproponował wyjazd nad Jezioro Powidzkie. Mówił, że jest czyste i bardzo duże. Nie przypuszczałam nawet, że jezioro chociaż troszeczkę można porównać do

morza. Ten mały w porównaniu do morza zbiornik wodny, jak na jezioro, był dość duży. Woda w nim odznaczała się czystością – dużą widocznością w głąb. Plaża również niczego sobie – miejsca starczyło dla wielu spragnionych relaksu i zapomnienia. Tuż po znalezieniu ładnego miejsca wskoczyłam do wody. Temperatura w sam raz, ani za ciepła ani za zimna. Na początku wypróbowałam swoje siły: pływałam dopóki się nie zmęczyłam. Nie było aż tak źle: około trzystu metrów bez przerwy, to całkiem dobry wynik. Krótki odpoczynek w postaci leżenia na materacu wodnym i znowu troszeczkę wysiłku. W sumie tego dnia pływałam prawie osiem godzin, z krótkimi przerwami. Właśnie wtedy nauczyłam się pływać pod wodą - nurkować. Najpierw sama próbowałam, później z wujkiem sprawdzaliśmy, kto popłynie dalej. Niestety wujek wygrał.

Po obiedzie miałyśmy z Natalią zamiar popływać na materacu wodnym. Wujek nas jednak uprzedził. Zabrał nam materac i nie chciał nam go oddać. Wymyśliłyśmy sposób na odbiór materaca: gdy wujek się zagapi, złapiemy z jednej strony za brzeg materaca i szybko podniesiemy i przewrócimy go na drugą stronę tak, że wujek znajdzie się pod wodą. Udało nam się - odzyskałyśmy materac na krótko. Chcąc odebrać przedmiot sporu, wziął nas wujek z zaskoczenia i zastosował tę samą metodę. My z pluskiem wpadłyśmy do wody. Właśnie wtedy wodna wojna rozpoczęła się na całego. Bronią była woda. W końcu się poddałyśmy, gdyż wujek był silniejszy i co najważniejsze wyższy, więc nie miałyśmy żadnych szans. Ale to tylko zabawa. Jednak co dobre szybko się kończy i musieliśmy wracać do domu. Nie chcąc jeszcze jechać, próbowałyśmy opóźniać wyjście z wody przez płynięcie zamiast do brzegu to w drugą stronę. Była wspaniała pogoda, aby zostać chociaż godzinę dłużej. Niestety nie powiódł się nasz plan. Zostałyśmy wprost zmuszone do opuszczenia wody. Żal rozstania się z wodą był ogromny, ale nic straconego: wujek obiecał, że następnego dnia też pojedziemy nad jezioro. Dotrzymał słowa. Zabawa była równie cudowna.

Po powrocie do domu byłam zaskoczona widokiem, jaki zastałam. Kto mnie przywitał? Mój ukochany chrzestny. Jego cała rodzina, tzn. wujek, ciocia, Asia i Tomek, uwielbiają pływać. Następnego dnia wyruszyliśmy wszyscy na podbój Rybna. Był dość chłodny dzień, ale to nas nie zniechęciło do pójścia nad jezioro. Krótki spacer rozgrzał nas. Gdy doszłyśmy na miejsce, wiatr nie wiał aż tak mocno. Dopiero po około piętnastu minutach zaczęło coraz mocniej wiać i fale zaczęły się powiększać. To rzadki widok na jeziorze: fale o wysokości około trzydziestu centymetrów. Pływanie było prawie niemożliwe. Woda wlewała się do nosa ust i oczu. To było przypomnienie wspaniałych chwil spędzonych nad morzem.

Na początku tego roku szkolnego moja klasa była na biwaku w Funce. Jest to Harcerskie Centrum Edukacji Ekologicznej położone nad pięknym Jezioro Charzykowskim. Jedną z atrakcji było pływanie łodzią żaglową i motorową po tym jeziorze. Skorzystaliśmy z tej propozycji. Najpierw

płynęliśmy łodzią żaglową. Musieliśmy postawić żagle i później zmienić ich położenie.

Pierwsze minuty minęły w skupieniu i oczekiwaniu na wiatr. Bez niego musielibyśmy wiosłować. Mieliśmy szczęście i chociaż trochę zmarzliśmy, to wrażenia pozostaną długo w mojej pamięci.

Płynęliśmy w miarę szybko. Po drodze dowiedzieliśmy się od naszego kapitana kilku słów z gwary żeglarskiej.

Zatoczyliśmy duże koło i wróciliśmy do miniportu.

Cumowanie też nie było łatwe. Trzeba było tak podpłynąć żaglówką, aby nie wpłynąć na inną, abyśmy mogli zejść i aby można było przywiązać linę do słupka na pomoście.

Po zejściu na ląd poszliśmy do łodzi motorowej, która nazywała się „Bartek”. Popłynęliśmy łodzią w stronę wysp leżących na jeziorze. Dwie z nich porośnięte były trzciną. Można by przypuszczać, że woda sięga na nich do kostek. Kapitan oznajmił nam, że gdybyśmy tam stanęli, to woda sięgałaby nam do szyi, czyli około 1,5 metra. Zdziwienie było wielkie, ponieważ trzcina wystawała nad wodą także około 1,5 metra. Gdyby dodać te wielkości, okazałoby się, że trzcina rosnąca w tym miejscu ma 3 metry wysokości. Nie widziałam jeszcze tak wysokiej trzciny. Szkoda, że cała nie była nad powierzchnią, bo będąc blisko takiego cuda nie zobaczyłam go w całości. Musiał mi wystarczyć wspaniały widok przyprawiający zawrót głowy: okazała trzcina i jej lustrzane odbicie w wodzie.

Obraz pięknego brzegu dookoła jeziora dawał niesamowite przeżycia wewnętrzne. Z jednej strony różnorodny drzewostan, z drugiej subtelnie wpleciona w otoczenie mała wioska.

Po obejrzeniu tych wspaniałych widoków odpłynęliśmy od wysp trzcinowych i popłynęliśmy w kierunku prawdziwej wyspy. Wspaniały jej widok „malują” wysokie i smukłe świerki, zielone, rozłożyste dęby, równie wspaniałe buki, graby i sosny. Odbicia tych drzew zatapiały się w głębinach jeziora.

Po dwóch wspaniałych rejsach po Jeziorze Charzykowskim wyruszyliśmy na wycieczkę szlakiem „Siedmiu Jezior”. Napotkaliśmy tam torfowiska i małe jeziora, wśród nich dwa lobeliowe. Nazwa pochodzi od rośliny, która jako jedyna rośnie w tych jeziorach. Brak jakichkolwiek substancji odżywczych nie pozwala na istnienie żadnych innych organizmów.

Zapewniam, że chociaż brakuje tam roślin i zwierząt, to charakter i wygląd jest jedyny i niepowtarzalny. Są małe, ale wydają się wspanialsze od morza. Chciałabym wrócić w te strony, aby móc jeszcze raz cieszyć się widokiem tych wspaniałych jezior.

Moim wielkim pragnieniem jest wyjazd i pobyt w „Krainie Wielkich Jezior”. Znam to miejsce jedynie z opowiadań osób, które już tam były. Mam nadzieję, że zwiedzę miejsce, które było natchnieniem dla wielu artystów: poetów, pisarzy, malarzy, muzyków i innych.

Woda to nie tylko jezioro i morze. Byłam świadkiem niesamowitego zjawiska, w którym główną rolę odgrywała woda. Po południu była piękna pogoda. Nagle z oddali dobiegł do mnie grzmot. Burza latem to nic dziwnego. Niebo było czyste i nie zanosiło się, aby ta burza do nas przyszła. W pewnym momencie za oknem słychać było krople deszczu spadające na dach. Spojrzałam i zobaczyłam, że rynna nie nadążała z odprowadzaniem wody. Najdziwniejsze w tym było to, że cały czas świeciło słońce.

Krople deszczu były tak duże, że aż się świeciły. Tata wyszedł przed dom zobaczyć, co się dzieje, skąd idzie chmura. Nagle zaczął wołać mnie i mamę. Pomyślałam, że gdzieś się pali, ponieważ przed chwilą uderzył piorun i było słychać, że blisko nas. Najwspanialsze zjawisko jakie kiedykolwiek widziałam. Na pastwisku pod koronami drzew rozciągała się piękna, różnobarwna tęcza. Na tle drzew i tych dużych świecących się kropeł wyglądała precudnie. Z kilku sekundowymi przerwami pierwsza tęcza trwała przez około szesnaście minut. Następna pojawiła się po około pięciu minutach. Przesunęła się bardziej w prawo i trwała kolejne dziesięć minut.

Nie byliśmy świadomi, że ta burza, która u nas ukazała się we wspaniały sposób, natomiast w oddalonym od nas o około trzydzieści kilometrów mieście położonym nad Wisłą, w niższych częściach zostało częściowo zalane. Chmura stała nad Wisłą, aż się z niej nie wypadało, a padało dobre kilka godzin. Woda więc jest dla niektórych łaskawa, a dla innych niestety nie.

Zimą również można zaobserwować działanie wody. Jest ona jednak w innej postaci. Podczas tej pory roku woda zamienia się w biały, puszysty śnieg. Chociaż jest zimno, to śnieg jest równie wspaniały, jak woda w jeziorze latem.

W zimowe popołudnia, zwłaszcza w ferie, ubieram się ciepło i wyruszam na podbój białego świata. Uwielbiam bitwy śnieżne, w której uczestniczy kilka osób. Szczególnie śmieszne są z kolegami i koleżankami z mojej klasy. Wspaniała zabawa, a przy tym dowcipy i żarty wprawiają nas wszystkich w dobry humor.

Pewnego razu urządziliśmy bitwę śnieżną między dwiema drużynami. Pierwszym etapem było przygotowanie pocisków. Zapasy amunicji wydawały się dość spore. Dopiero ich małe rozmiary wykryliśmy podczas bitwy. Już w połowie musieliśmy sami sobie robić kule na bieżąco. Noga, ręka, plecy, czasem głowa to główne cele. Nie zawsze udawało się trafić zamierzony punkt. Zabawa była jednak wspaniała. Strat w ludziach nie było, chociaż trafionych w każdej z grup było po tyle samo.

Zabawa w śniegu to nie tylko bitwy śnieżne. Jednego popołudnia, podczas zimy, w której spadło dużo śniegu u nas na podwórzu zaroilo się od bałwanów. Powstała kolonia małych bulinków. Kilkanaście domków, a w każdym z nich po dwa, trzy śnieżne ludziki. Każdy domek łączyły ze sobą małe, wąskie ścieżki. Od świata zewnętrznego oddzielał je miniaturowy płatek. Cała

osada wyglądała jak prawdziwa i miała w sobie pewien niesamowity urok. Te maleństwa wyglądały jak prawdziwe, chociaż były troszeczkę blade.

Na kuligu byłam wiele razy. Jednego jednak nigdy nie zapomnę. Ten jeden raz jechałam w saniach, a szczytem mojej radości było pozwolenie taty na poprowadzenie. Było cudownie: zgodnie z naturą, nie zatruwając środowiska, a wrażenia wprost wspaniałe. Lekkie dotknięcie mrozu w nos, uczucie zimowego wiatru na twarzy, odgłos kopyt konia oraz śpiew pozostałych w kraju ptaków. Połączenie w jedną całość tych kilku rzeczy dało niesamowitą mieszankę, której szybko się nie zapomina.

Chociaż mogłoby się wydawać, że nie można znaleźć w wodzie więcej przyjemności, to jednak nie koniec. Jeszcze jedną postacią wody przydatną do miłego spędzenia czasu jest lód. Na lodzie również spędziłam miłe chwile w towarzystwie przyjaciół. Ścigaliśmy się, kto pierwszy będzie przy wyznaczonym miejscu. W jakim czasie każdy z nas przebędzie dany odcinek lodu. Wyniki były różne. Czasem ja wygrywałam, czasem któraś z koleżanek. Nikt nie narzekał na nudę w zimowe popołudnia. Czas mieliśmy wypełniony po brzegi.

Namawiam każdego, aby polubił wodę, ponieważ jest to wspaniała rzecz. Dzięki niej można na różny sposób wypełnić sobie wolny czas i latem i zimą.

„Ja - wędką i ona ”

Moje wakacje były jak piękna przyroda, której nie spotyka się od tak. Zetknęłam się z nią w wiosce bogatej w piękno przyrody w Bładzimi.

Tam to właśnie mieszka mój dziadek, u którego spędziłam część tegorocznych wakacji. Były one bogate w emocje i wiążące się z nimi zdarzenia. Postaram się przybliżyć swym opisem jedno z takich zdarzeń, a było to tak.

Wczesnym rankiem zaraz po tym, jak spędziłam sen z powiek, ubrałam się, zjadłam śniadanko, wypiałam mleko i uporałam się, choć to wakacje, z moimi codziennymi obowiązkami. Po czym mogłam dać się ponieść emocjom i ruszyć na strych w poszukiwaniu czegokolwiek, co wyglądem przypominałoby wędkę. Bowiem umyśliłam sobie, jako menu dzisiejszego dnia „polowanie” na rybę. Później okazało się, że nie przyniosło to upragnionych kokosów, natomiast gorzką porażkę. Jak już wcześniej wspomniałam, poczęłam przeszukiwać, a raczej przetrząsać w najpełniejszym znaczeniu tego słowa zapajęczone szafy, stoliki, walizki, łóżka.

Wreszcie ujrzałam, iż cel moich westchnień spokojnie sobie stoi oparty o ścianę i to nie była jedna, tylko trzy, a nawet i cztery wędkę.

Jedna z kołowrotkiem, inna z bambusowego kija, jedna wiekowa wędkę, na którą łowił, całkiem ładne sztuki, mój pradziadek. Mogłabym tak wymieniać bez końca, gdyby nie fakt, że trzeba wybrać jedną z tego stada wędek. Długo się nie zastanawiając chwyciłam pierwszą z brzegu wędkę i zbiegłam po cementowych schodach, jeśli można to tak nazwać. Teraz uświadomiłam sobie, że to dopiero połowa sukcesu, ponieważ potrzebne są robale, za którymi, mówiąc wprost, nie przepadam. Ale czego nie robi się dla przygody, jaką jest sama satysfakcja z łowienia ryb i to w dodatku bambusową wędkę, która o dziwo posiada kołowrotek. Jak tylko znalazłam łopatę, zajęło mi to parę ładnych minut, chwyciłam słoiczek z podziurawioną pokrywką, żeby robaki dłużej utrzymały swą świeżość. Udałam się do ogrodu i pełna entuzjazmu, z choć nie małego włożonego w tą pracę wysiłku, wbijałam narzędzie służące do kopania w ziemię. Potem wyrzucałam czarną ziemię na powierzchnię piachu, w którym jak gdyby nigdy nic żerowały sobie pierścienice, nazywane przez nas dżdżownicami. Przekopałabym dziadkowi cały ogród, jednak zgubę warzywek uratował barwny motyl, który przyciągnął na chwilę moją uwagę. Po chwili motyl odleciał, a ja uświadomiłam sobie, iż mam już wystarczającą ilość robaków, którą mogłabym nakarmić samego wieloryba, a nie stado małych

wygłodzonych rybek. Odniosłam łopatę, zakręciłam słoiczek, chwyciłam wędkę, po czym wyszperałam coś w rodzaju foliowego worka, wciągnęłam bluzę i oświadczyłam dziadkowi, co zamierzam teraz robić, udałam się w stronę furtki. Tylko nie wróć z niczym, usłyszałam za sobą głos dziadka. Już moja w tym głowa, by złowić okazałą sztukę. Wykrzyknęłam i skierowałam kroki w stronę pobliskiego jeziora. Są tu dwa jeziora „Święte” i drugie, nie pamiętam nazwy, odwiedzane tylko przez miłośników pływania łódką i pontonem. Tu miejscowi wędkarze niekiedy całymi dniami przesiadują na mostku.

Byłam pełna radości, wprost rozpierała mnie energia, czułam, że właśnie dziś pokażę, na co mnie stać. Po drodze wstąpiłam do Dominiki, dziewczynki, która często odwiedza mego dziadka. Mieszka w Błędziniu z babcią, choć pochodzi z Torunia. Jej babcia, to przemiła starsza pani o wielkim sercu. Podobnie wnuczka, jak i jej babcia, jest człowiekiem bardzo wrażliwym, miłym. Przywitałam się z panią Gackowską, Dominika wzięła swą wędkę i postanowiliśmy wspólnie łowić ryby. Domcia, tak ją nazywam, pokazała, a dokładniej zaprowadziła mnie na mostek, który często odwiedza, choć bez wędki. W powietrzu dało się czuć woń kwiatów, zielonej murawy a ponadto słyszeliśmy jak krążące nad nami ptaki, wyśpiewywały, ćwierkały i piskliły się nad roztaczającą się dokoła nas wodą. Nad wodą dało się słyszeć fale obijające się o brzeg. Zwolniłyśmy kroku, a to za sprawą kolących chwastów i gigantycznych pokrzyw, które jak na nieszczęście zastąpiły nam drogę. Kolejny lekki powiew wiatru napełnił mnie nieopisaną radością. Nawet nie wiem, kiedy i w jaki sposób, tak szybko znaleźliśmy się na miejscu.

Był to stary drewniany mostek, który utrzymywał się na wodzie dzięki drewnianym stabilnym, jak widać palom. Wbitym w piaszczyste obrosłe wodorostami dno jeziora. Jako pierwsza weszła na wrak mostka Dominika, zostawiając swą wędkę na brzegu. Podałam jej słoiczek ubity robalami, następnie wgramoliłam się na mostek, trzymając w ręku nasze wędkarskie kije. Siedziałyśmy na ławeczce umieszczonej na mostku zrobionej z dwóch desek i dwóch grubszych palików, tzw. pieńków. Muszę przyznać, iż była to bardzo wygodna, choć dawno wykonana ławka. Słońce paliło niemiłosiernie, mogłam wziąć jakieś okrycie na głowę pomyślałam i zabrałam się do nakładania robala. Przepołowiłam go i nadziałam na haczyk jedną z dwóch części robaczka. Zarzuciłam wędkę i wyczekiwałam, aż mój spławik, znajdzie się pod wodą. Dominika w tym czasie rozplątywała żyłkę okręconą wokół bambusowej wędki, pomogłam jej w tej żmudnej czynności i teraz na jej haczyku wiercił się, i kręcił solidny robak. Z wielką zwinnością, jak na ośmioletnie dziecko, zarzuciła wędkę i z uśmiechem na ustach zasiadła na ławce nie spuszczając z oka ani na chwilę pomarańczowego, niewielkich rozmiarów, spławika. Czas miło płynął pośród szelestu liści, szumu wody i plusku fal. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że ryby jak na złość nie gustowały w moim robaku. Podobnie Dominika straciła już nadzieję na to, że coś przez pomyłkę przyczepi się do jej lśniącego nabitym tłustym robalem haczyka. Siedziałyśmy, jak na

grochu zatopieni w oceanie milczenia. Bez słowa ściągnęłam spławik z jeziora, próbując zarzucić wędką po raz kolejny i jak mi się wtedy wydawało ostatni. Na twarzy Dominiki rysował się mizerny uśmiech. Fale uderzały o mostek, co w efekcie dawało niecodzienny widok, wszystko dookoła roztaczało się zielenią, ptaki ciągle jeszcze śpiewały, z daleka było słychać nawoływania dwojga miejscowych rybaków.

Teraz Dominika postanowiła po raz kolejny zarzucić swą wędkę, przy czym jej żyłka napotkała na przeszkodę. Gdyż zarzucając zza siebie wędką żyłka oplątała się na prawo i lewo wkoło gałęzi starego dębu, który chronił nas przed docierającymi tu promieniami słońca. Bez chwili wahania zostawiłam wędkę opartą na mostku i starałam się, w jakiś sposób pomóc zakłopotanemu dziecku. Choć nie bardzo wiedziałam, co należałoby zrobić w takiej sytuacji, wraz z Dominiką ciągnęłyśmy ze wszystkich sił tak długo, aż nie zbyt gruba gałąź, wokół której zaplątała się żyłka, runęła z wielkim hukiem na ziemię obok naszego mostka. Teraz już bezproblemowo rozplątałam żyłkę z gałęzi, na szczęście wędka nie odniosła żadnych poważniejszych obrażeń. Dominika odstawiła wędkę, złapałyśmy gałąź z dwóch stron, po czym rzuciłyśmy ją w pobliskie pokrzywy po drugiej stronie dębu, by nie tarasowała wejścia na mostek. Domcia ponownie chwyciła wędkę, nałożyła nowego robala, tamten już stracił swą naturalną barwę, z tym że to ja tym razem zarzuciłam jej wędkę by uniknąć ponownego skandalu. Dominika usiadła na ławeczce i ponownie wyczekiwała, aż zanurzy się spławik. Ja w tym czasie ściągnęłam spławik, nałożyłam dżdżownicę, tamtą zjadła mi ryba, gdy siłowałam się z wędką. I zarzuciłam, po raz któryś z wielką satysfakcją prawidłowego „zamachu” na rybę. Ptaki przestały już śpiewać, fale nadal obijały się o mostek, a ryb jak nie było, tak nie było. Po chwili namysłu wpadłam na pomysł, może by tak zmienić mostek i spróbować szczęścia w innej stronie jeziora. Dominika przytaknęła na ten pomysł i ani się obejrzałam, jak w jednej ręce trzymała wędkę, a w drugiej miała słoik z przynętą. Przynagliła mnie, bym się pośpieszyła i już po chwili prowadziła mnie przez gęste zarośla, których nie darzyłam większą sympatią, ale cóż lepsze to niż sterczenie w jednym miejscu, gdzie mucha nie siada, a co dopiero mówić o rybach. Kiedy tak przedzierałyśmy się przez to błoto, gęstwinę krzaków i pokrzyw, wstąpiła we mnie nowa nadzieja, że może tym razem będzie lepiej. Pełna otuchy odgarniałam dzikie krzaczory sięgające do pasa, które zaraz skojarzyły mi się z dżunglą. Dominika wydawała się być smutną i przygnębiałą, jedynymi słowy zbitą z tropu. Wcale jej się nie dziwię, jak na razie wszystko sprzyściło się przeciw nam.

Słońce nie grzało już tak, jak wcześniej. Za to podmuch wiatru dał się we znaki, szłyśmy tak w zamyśleniu, aż do celu naszej wędrówki. Zatrzymałyśmy się na chwilę, zdaje się, że znalazłyśmy właściwy mostek. Był solidny, choć bez ławki wydawał się być stabilnym i stworzonym wprost dla nas. Zostawiłyśmy sprzęt na zielonej murawie, włącznie z robakami i weszłyśmy na mostek. Rozciągał się stąd piękny, typowo leśny krajobraz, dookoła jeziora rosło wiele

drzew. Zbiegłyśmy na trawę, chwyciliśmy wędki. Wzięłam słoik i bez chwili namysłu wepchnęłam robaczka na haczyk. Jeden obrót i haczyk zatonał. Spławik dryfował na powierzchni wody. Dominika zrobiła to samo, choć z trochę mniejszym entuzjazmem. Jednak po upływie kilku minut jej spławik lśnił na powierzchni wody. Trzymałam wędkę, badawczo wpatrując się w spławik. Dominika ponownie nałożyła robaka i zarzuciła wędkę.

-Chciałabym w końcu złowić coś sensownego – powiedziała moja towarzyszka wędkowania.

-Jeśli o mnie chodzi może to być cokolwiek- odparłam.

I w tym momencie spostrzegłam, iż mój spławik nieoczekiwanie znalazł się pod wodą, moja wędka przybrała widok wygiętego kija, którego w żaden sposób nie mogłam wyciągnąć. W pierwszej chwili zżerała mnie pycha.

-Ale sztuka – pomyślałam.

Doprawdy byłam z siebie dumna jak paw. Bystre oczy Dominiki wlepiły się w moją wędkę i na próżno próbowałam je z niej odciągnąć.

-Co mam zrobić – zamyśliłam się na chwilę, wciąż mocno trzymając wygiętego bambusa z kołowrotkiem, ale to na nic. Zaciął się i w żaden sposób nie chciał mi ułatwić życia.

-Pomóż mi – krzyknęłam.

-Co się stało? – ocknęła się ośmioletnia dziewczynka.

-A jak ci się wydaje ? Chyba coś złapałam na haczyk i to coś waży co najmniej z 5 kilogramów, „za chiny” tego nie wyciągnę.

-Nie martw się, poradzimy sobie – rzekła. I w tej samej chwili położyła swą wędkę na rogu mostka, a sama zabrała się do myślenia, jakby tu mi pomóc. Rozważając bieg sytuacji, zastanawiała się nad problemem, który paraliżował mój umysł i ręce. Czułam się zakłopotana, nie miałam zielonego pojęcia, co teraz zrobić, jak wydobyć z wody wędkę a dokładniej haczyk. Byłam bezsilna, zdana na siebie, wpadłam po uszy, bo jak to inaczej nazwać, cieszyć się czy płakać, sama nie wiem, ciężki orzech do zgryzienia.

-Dominika, co tak stoisz? Nie będę tu wyczekiwać wieczność, ciągnij wraz ze mną, nie mamy innego wyjścia, przecież nie zostawię wędki w jeziorze. Zresztą nie zostawiłabym jej nawet na brzegu.

Dominika wyrwała się z zamyślenia i tak nic nie wymyślisz, bo co tu do myślenia. Trzeba wydobyć z wody haczyk i to coś na haczyku za wszelką cenę. Dziewczynka sprężyła się i już po chwili była obok mnie z rumieńcem na twarzy, uchwyciła wraz ze mną wędkę i całym wysiłkiem, jaki tylko mogłybyśmy włożyć w tę żmudną czynność, której dałyśmy się pochłonać. Sądzę, że była to, odpowiednia w takiej sytuacji, z mojej strony reakcja. Ciągnęłyśmy ze wszystkich sił, ile tchu w piersiach i udało się. Uff! Nareszcie, ale nie ma się z czego cieszyć, skutek wielogodzinnego łowienia był opłakany. Wyciągnęłyśmy wreszcie wędkę, która była haczykiem przytwierdzona do dna, a to za sprawą wstrętnego wodorostu. Myślałam, że ze złości zapadnę się pod ziemię, tak mi było wstyd, że spędziłam cały dzień nad jeziorem i nie złowiłam

żadnej ryby, tylko jakiś tam zgniły, zwyrodniały wodorost. Już nigdy nie pójde na ryby. W dodatku, jak uporałyśmy się z moją wędką, to tej gapie zaplątał się haczyk, a raczej wczepił się w rękaw. Z okropnym trudem przyszło mi jego wyplątanie z jej rękawa, to nie takie błahe, jakby się wydawało. To kolejne wyzwanie, które pozwoliło mi się sprawdzić podczas tegorocznych wakacji. Ciągnęłam, kręciłam, wyginałam. Wszystko na nic. Nie umiałam temu szkaradnemu zahaczeniu zaradzić. Przecież nie urwę jej rękawa, chyba będzie musiała wrócić tak do domu, a tam mój wujek, coś na to poradzi. Ale na szczęście obyło się bez wystawienia się na śmieszność. Rezolutna, choć rozdrażniona już teraz na dobre, Dominika zębami wyrwała haczyk z koszulki.

-Hurra! Jesteś wielka – powiedziałam, a właściwie wykrzyczałam. Oznajmiłam jej, że pora się zbierać. Zresztą właśnie teraz miałyśmy sposobność zaobserwować piękny widok zachodzącego słońca. Wyglądało niczym ognista kula zatopiona w wodzie. Był to rzeczywiście niecodzienny widok, do którego przywiązujemy małą wagę. Po kilku minutowej obserwacji pięknego zjawiska, jakim jest zachód słońca, zaczęliśmy zwijać wędkę, zakręciłam słoiczek z robalami i ruszyliśmy tą samą ścieżką, którą przyszliśmy. Nie zwracałam już najmniejszej uwagi na napotkane po drodze pokrzywy. Szliśmy wąską ścieżką biegnącą obok jeziora.

Dzisiejszego dnia przeżyłam wszystkie możliwe uczucia a przynajmniej większość, jakie mogą człowieka w życiu spotkać. Tego nie można streścić w kilku zdaniach coś takiego, taką przygodę trzeba przeżyć samemu, trzeba wyjść jej na przeciw. W moim przypadku ta przygoda na długo ochłodzi mój wędkarski zapał. Na pewno żyjątko wodne niezmiernie się z tego powodu cieszą.